

**MIKE CAREY** – ŚWIATOWA PREMIERA  
NOWEGO OPOWIADANIA!

# NOWA Fantastyka

09 (360) 2012 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)

**30  
LAT**

NOWEJ  
FANTASTYKI  
W PAŹDZIERNIKU.

**ZACZYNAMY  
ŚWIĘTOWANIE!**

**DAN SIMMONS  
I ZAGADKA  
DICKENSA**

**AFERA WOKÓŁ  
„STRAŻNIKÓW”  
ALANA MOORE'A**

**ROYCE I HADRIAN  
POWRÓCĄ  
20 WRZEŚNIA!**

**OPOWIADANIE  
JEFFA VANDERMEERA**

**RECENZUJEMY  
NOWĄ POWIEŚĆ  
NEALA STEPHENSONA**

**WYWIAD  
Z DAVIDEM WEBEREM**

**DZIEDZICTWO DIUNY**  
**KTO ŻERUJE NA ARCYDZIELE  
FRANKA HERBERTA?**

PROSZYŃSKI  
MEDIA

© Cover artwork by Larry Rostant  
represented by Artist Partners Ltd  
www.artistpartners.com.







04

W najnowszej powieści, „Drood”, Dan Simmons bierze się za rozwikłanie tajemnicy ostatniej, niedokończonej powieści Karola Dickensa.



08

Rzecz nie do pomyślenia – film podbija box office, widzowie są zachwyceni, scenarzyści zgłaszają chęć kontynuacji, a studio kręci nosem. Na początku lat 90. ubiegłego wieku na sequele patrzono jak na filmy gorszego sortu.



12

Skandal – krzyczą fani. Zniewaga świętości – denerwują się twórcy. Mimo oburzenia, DC Comics przekształca kultowych „Strażników” Alana Moore’a i Dave’a Gibbonsa w kolejną franczyzę.



65

David Weber – pisarz specjalizujący się w fantastyce militarnej. Najbardziej znany jako twórca monumentalnego cyklu „Honor Harrington”.

## JASNA STRONA MOCY



Fot. M. Kowalczyk

Podobno kilka dni przed tragedią wystąpił na adres jednej z uczelni notatnik ze szczegółowym opisem tego, co zamierza. Podobno nie krył się z obłąkańczym pomysłem, informował każdego, kto tylko chciał słuchać, a pewnie też nagabywał takich, co słuchać nie mieli ochoty. Podobno rzuciła go dziewczyna. Podobno leczył się u psychiatry. Podobno wyglądał na grzecznego, inteligentnego faceta. Piszą, że chodził do kościoła. Ot, sympatyczny nerd, trochę odklejony od rzeczywistości, całymi dniami pykający w komputerowe gierki. Podobno w więzieniu zapytał klawiszka: „Dlaczego tu jestem?” Zabawny gość. Wszystko to zresztą pewne o tyle, o ile sąd tak uzna. I o ile uzna, że powinno mieć jakiś wpływ na opinię co do poczytalności. I tylko jedno jest w tej historii nie do obalenia: do masakry doszło na premierze filmu z serii kultowej dla fantastów. Zginęło 12 osób, 58 zostało rannych.

Przyznam się teraz do czegoś. To dobry, niestety, moment. Otóż, fantastyka podobała mi się zawsze z wielu powodów, ale jeden był decydujący. Podobała mi się i podoba nadal prostota i jasność wielu rozstrzygnięć moralnych, dokonywanych w powieściach, komiksach czy filmach spod znaku SF i fantasy. Podoba mi się, kiedy dobro zwycięża, a zło jest bezsilne i dostaje łupnia.

Przynajmniej kiedyś tak dostawało. Było to w czasach, kiedy podczas zabawy w gwiazdne wojny nikt nie chciał być „tym złym”. Nie wiem, jak wasi kumple, ale wśród moich nie było takiego, który jarał by się Ciemną Stroną. Żałuję, że to się skończyło.

Rozumiem, że bajkowy podział na Dobro i Zło, na Jasną Stronę Mocy i Ciemną to już przeszłość. Rozumiem, że dla skomplikowania fabuły i dodania postaciom rysu prawdopodobieństwa twórcy starają się dziś nie operować czarno-białymi schematami. Rozumiem, że Joker czy Bane muszą być na swój sposób ludzcy, żeby widowisko było atrakcyjniejsze. Zastanawiam się jednak – tragedia w Denver prowokuje do tych pytań – czy czegoś nie straciliśmy? Czy nie warto przypomnieć sobie, że podział jest jednak prosty?

*Jakub Winiarski*

### PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 JĘZYK EINSTEINA I UFOLODZY *Jakub Ćwiek*
- 4 TAJEMNICA KAROLA DICKENSA *Jan Żerański*
- 6 DOMOWE PIEKIEŁKO *Piotr Pieńkosz*
- 8 CHAOS ABSOLUTNY CZ. 2 *Marcin Zwierchowski*
- 10 PŁASKA ZIEMIA Z LAMUSA *Agnieszka Haska, Jerzy Stachowicz*
- 12 POWRÓT (DO PRZESZŁOŚCI) STRAŻNIKÓW *Michał Chudoliński*
- 14 DZIEDZICTWO DIUNY *Andrzej Kaczmarczyk*
- 63 RADY DLA PISZĄCYCH, ODC. 10 *Michael J. Sullivan*
- 65 TRZEBA MÓWIĆ WŁASNYM GŁOSEM Wywiad z *Davidem Weberem*
- 72 OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA? NIECH GINĄ! *Rafał Kosik*
- 73 GRUPOWA SELEKCJA *Peter Watts*
- 78 KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ *Łukasz Orbitowski*

### PROZA POLSKA

- 17 KHULLÉ *Ewa Bury*
- 32 DO ZWARTEGO ZAKŁĘCIA *Adam Synowiec*

### PROZA ZAGRANICZNA

- 39 OPOWIASTKI O SIEDMIU DŻINACH *Mike, Linda i Louise Careyowie*
- 47 SYTUACJA *Jeff VanderMeer*
- 59 ANALK *Florian Heller*

### RECENZJE

- 67 KSIĄŻKI 74 FILM 75 GRA / DVD 76 KOMIKS 77 TV

## W następnym numerze:

ZBIGNIEW WOJNAROWSKI

**ŚMIERĆ NA CHORĄGWI**

CATHERYNNNE M. VALENTE

**NOWE OPOWIADANIE**

– ŚWIATOWA PREMIERA

**CZAS FANTASTYKI 3/2012 OD 16 SIERPNIA**  
**FANTASTYKA WYDANIE SPECJALNE 3/2012**  
**OD 19 LIPCA**



## Nadchodzi jubileusz

Parę miesięcy temu, po wstępie o zmianach pokoleniowych, odezwał się do mnie czytelnik. Napisał m.in. *„mam pod pięćdziesiątkę i nadal czytam „NF”, mało tego, mam wszystkie numery. Lubię fantastykę, próbuję przekonać do niej innych. Udało mi się z moimi dziećmi.*

Bardzo mnie ten e-mail ucieszył, bo dowodzi, że bez względu na wiek i obeznanie z gatunkiem, można w „Nowej Fantastyce” znaleźć coś ciekawego. Zdarza się niestety, że odbiorcy z dłuższym stażem i bardziej odcytani gubią gdzieś prostą frajdę obcowania z fantastyką. Woleliby może, żeby „NF” dostojnie starzała się wraz z nimi, a redaktorzy w akademickich tekstach dzielili włos na czworo i potrząsając siwymi głowami dowodzili, że lepsze jutro było wczoraj, a ta dzisiejsza młodzież...

Nic z tego. Mam nadzieję, że uda nam się pozostać magazynem dla wszystkich miłośników fantastyki. Pozdrawiam w tym miejscu autora e-maila, pana Bogusława, jego rodzinę i wszystkich młodych duchem, bez względu na metryki. Zaczynamy świętowanie trzydziestolecia „Nowej Fantastyki”. Okrągła rocznica za miesiąc, ale pierwsza urodzinowa atrakcja – opowiadanie znakomitego Mike’a Careya – już w tym numerze.

Pora na nowości. Chyba najdłużej oczekiwaną premierą jest „Drood” Dana Simmons’a – połączenie fantastycznego thrillera z Karolem Dickensem w roli głównej. Miłośnicy Michaela J. Sullivana ucieszą się z drugiego tomu przygód Hadriana i Royce’a, na który składają się powieści „Nowe imperium” i „Smaragdowy Szstorm”. Kolejną atrakcją będą opowiadania twórcy smoka Griaule’a, Luciusa Sheparda – szesnaście tekstów (w tym dziewięć nie publikowanych do tej pory w Polsce) ukaże się w zbiorze „Krokodylowa skała”. Miłośnikom SF ma szansę przypaść do gustu „Przebudzenie Lewiatana” Jamesa Coreya, a na młodszych czytelników czekają „Tajemnice Zwyczajnej Farmy” – drugi tom serii Tada Williama i Deborah Beale.

W kinie na dobry początek pojawi się „Ted” – komedia, w której Mark Wahlberg musi uporać się ze swoim zdemoralizowanym pluszowym misiem. W połowie miesiąca na ekrany trafi „Resident Evil: Retribucja” – to już piąty film z popularnej serii, a na koniec września zapowiadani są „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”, na podstawie powieści Rafała Kosika.

Wśród komiksów niewątpliwym skarbem będzie „Pictures That Tick” – kolekcja krótkich opowieści autorstwa zdumiewającego Dave’a McKean’a. Obiecującą zapowiada się również „Goliat” Toma Gaulda – opowieść biblijna opowiedziana z perspektywy tytułowego, przegranego wojownika.

Jerzy Rzymowski

## ZAPOWIEDZI

### KSIĄŻKI



**Sullivan Michael J.**  
**„Nowe imperium.  
Smaragdowy Szstorm”**  
– druga odsłona przygód  
Hadriana i Royce’a.

**Simmons Dan „Drood”**  
– fantastyczna  
i sensacyjna opowieść  
o Charlesie Dickensie.

### FILM



**„Pamięć absolutna  
2012”**  
– Colin w roli Arnolda,  
czyli remake  
przebojowego klasyka SF.

**„Pictures That Tick”**  
– krótkie historyjki  
współpracownika Neila  
Gaimana.

WWW.FANTASTYKA.PL



BONUS!



WYWIAD  
Z JONATHANEM  
CARROLLEM



DODATKOWE  
RECENZJE:  
"MERIDA WALECZNA",  
"GNIEW TYTANÓW" DVD



SeriaLove  
zwJeRzenia:  
"ROAR"/  
"PRAWO MIECZA"



ROZSZERZONY  
WYWIAD  
Z DAVIDEM  
WEBEREM

W darmowym PDF-ie z fragmentami "NF" 09/12 na [www.fantastyka.pl](http://www.fantastyka.pl)

TEGO NIE ZNAJDZIECIE NIGDZIE INDZIEJ!





Dan Simmons, © Cliff Grassmick

# TAJEMNICA KAROLA DICKENSA

JAN ŻERAŃSKI

W NAJNOWSZEJ  
POWIEŚCI,  
„DROOD”, DAN  
SIMMONS BIERZE  
SIĘ ZA ROZWIKŁANIE  
TAJEMNICY  
OSTATNIEJ,  
NIEDOKOŃCZONEJ,  
POWIEŚCI KAROLA  
DICKENSA.

L iteratura od zawsze inspirowała pisarzy. Nie ma chyba lepszego sposobu na wykazanie się erudycją i talentem, niż napisanie książki o książkach, pośrednio lub bezpośrednio – poprzez cytaty, nawiązania, gry literackie – dotykając istoty dzieła, którym się inspirujemy. Doskonale rozumie to Dan Simmons, który garściami czerpie z różnych tradycji literackich, swobodnie wędrując od angielskiego XIX-wiecznego romantyzmu i powieści gotyckich, przez greckie poematy aż po twórczość XX wieku. Widać to nie tylko w jego powieściach SF, w których sięga po „Iliadę”, Nabokova, filozofię Teilharda de Chardin, czy poezję Keatsa, lecz także w innych dziełach.

## ŚMIERĆ NAD BIURKIEM

Historia „Tajemnicy Edwina Drooda” jest doskonałym materiałem na fikcję literacką, podobnie jak życie samego Dickensa. W ostatnich latach życia słynny pisarz poświęcił się kryminałom – zawierającym modne pod koniec XIX wieku elementy fantastyczne, narkotyczne wizje czy mistycyzm. Zapewne zaważył na tym fakt, że jego ostatnia powieść nie dostała tak pochlebnych recenzji, jakich oczekiwał.

„Nasz wspólny przyjaciel” nie cieszył się powodzeniem, w przeciwieństwie do ostatnich dwóch dzieł Wilkie’ego Collinsa – „Kobiety w bieli” i „Kamienia księżycowego”. Czy to możliwe, by Dickens – największy obok Thackeraya przedstawiciel realizmu krytycznego – czuł zazdrość wobec kolegi po piórze i dlatego spróbował napisać kryminał? A może przeważało pragnienie zysku, ponieważ od śmierci Edgara Allana Poe’go (1848) kryminały cieszyły się rosnącym zainteresowaniem?

Niezależnie od motywacji, Dickens siadł do pisania i śmierć zastała go właśnie podczas tworzenia. Zmarł przy biurku nie dokończywszy powieści i nie zdradzając nikomu zakończenia. Wprawdzie kilka osób wiedziało, że autor planował zbudować kryminał w oparciu o intrygę, w której bohater ginie zamordowany przez swego wuja, jednak w praktyce nigdy nie dowiemy się, czy Jasper, wuj młodego Edwina Drooda, naprawdę zabił zaginionego młodzieńca, czy za zniknięciem stały inne, mroczne,

nieznane człowiekowi siły. Otwarta fabuła „Tajemnicy Edwina Drooda”, śmierć autora i interesujące relacje między Collinsem a Dickensem pchnęły Dana Simmonsa do napisania swojej wersji historii. W powieści „Drood” zajmuje się wyjaśnieniem zarówno tajemnicy Karola Dickensa, jak i Edwina Drooda.

## TAJEMNICA EDWINA DROODA

Bohaterem „Tajemnicy Edwina Drooda” jest tytułowy młody sierota, mieszkający w katedralnym, starożytnym mieście Cloisterham. Drood pracuje jako architekt. Zakochany jest w pięknej Rose Bud, która jednak – chociaż za młodu z nim zaręczona – ma dwóch innych adoratorów: rówieśnika Edwina, Neville’a Landlessa, oraz wuja bohatera, czyli Johna Jaspera. Jasper udziela dziewczynie lekcji muzyki, rozpalając w niej uczucia; jej afekt do Edwina słabnie i oboje zaczynają wątpić we wspólną przyszłość.

Dickens od początku skupia się na arcyciekawej postaci Johna Jaspera – to człowiek skryty, ponury, uzależniony od opium. Wprowadzenie narkotyku uzasadnia występujące w powieści widziadła i pogłębia gotycki nastrój, wzięty z twórczości Poe’go.

# DOMOWE PIEKIEŁKO

PIOTR PIENKOSZ

FILMOWCY ODARLI DOM Z TRADYCYJNIE KOJARZONEGO Z NIM POCZUCIA BEZPIECZEŃSTWA. MOTYW BUDYNKÓW NĘKANYCH PRZEZ ZŁE MOCE STAŁ SIĘ JEDNYM Z NAJCHĘTNIEJ WYKORZYSTYWANYCH W KINIE GROZY.



Świat horroru co roku zasypuje nas tego typu produkcjami. Niedawno mogliśmy oglądać na ekranach polskich kin „Szepty”. Opowieść o pogromczyni duchów, która wykonuje zlecenie w nękanej przez mary rezydencji, może nie podbiła list box office, ale i tak przyniosła twórcom przyzwoite zyski, tym samym udowadniając, że formuła *haunted house movies*, choć mocno eksploatowana, wciąż się nie wyczerpała.

Wszystko zaczęło się na dobre w latach 60. ubiegłego stulecia. Pracując nad swoim dziełem, Robert Wise nie mógł przypuszczać, że tworzy właśnie perłę gatunku, obraz, który w przyszłości stanie się punktem odniesienia dla dziesiątek innych produkcji. Jego „*Nawiedzony dom*” nie był pierwszym tego typu filmem, ale na pewno jednym z najlepszych, co niejednokrotnie klasyfikowało go w czołówce rankingów horrorów wszech czasów. Podobnych filmowych evergreenów powstało jeszcze kilka: „*Dom na nawiedzonym wzgórzu*” Williama Castle’a, „*Duch*” Tobe Hoopera i seria o *Amityville*. Jednak zarówno one, jak i obrazy próbujące im dorównać, w gruncie rzeczy za każdym razem wychodziły od jednego schematu, a granice, w których dokonywano modyfikacji okazywały się niezwykle wąskie, jakby potwierdzając obiegową opinię, że horror należy do najbardziej skostniałych i niechętnych ewolucji gatunków filmowych.

## SCHEMAT GONI SCHEMAT

Widz oglądający takie filmy już na wstępie może spodziewać się określonego rozwoju fabuły. Będzie to albo historia o rodzinie, która odcinając się od niełatwej zazwyczaj przeszłości wprowadza się do nowego wy-

marzonego domu, mając przy tym poczucie realizacji „amerykańskiego snu”, albo opowieść o amatorach przygód, którzy przypadkiem lub planowo odwiedzają daną posesję, by zbadać, czy zgodnie z krążącymi przekonaniami jest ona rzeczywiście nawiedzona. Taki podział, z nielicznymi tylko wyjątkami, okazuje się wyczerpujący.

Opowieściom tym towarzyszy szereg nieodłącznych elementów. Dom, będący głównym bohaterem produkcji, musi mieć tajemniczą przeszłość, którą trafiający do niego ludzie poznają z ksiąg ukrytych na strychu bądź w podziemiach budynku. Pełna pseudofaktów, często niejasna historia ma uwiarygodnić fakt zamieszkiwania w murach domu duchów. Kiedyś rozegrała się tu jakaś tragedia, która w nadnaturalny sposób oddziałuje na tu i teraz. Sami bohaterowie na przestrzeni filmu, wskutek uwiecznienia w budynku oraz zetknięcia z różnorodnymi zjawami czy umęczonymi duszami, ulegają poważnym psychofizycznym zmianom, nierzadko stając się niebezpiecznymi dla otoczenia. Nie bez wpływu na mroczny klimat opowieści pozostaje wygląd domostwa. Najlepiej, gdy jest to duża, wiekowa, chyląca się ku ruinie posesja. Dom, stanowiący łącznik pomiędzy zaświatami a teraźniejszością, prowadzi z bohaterami dramatyczną grę. Początkowa fascynacja budowlą ustępuje miejsca przerażeniu. Tylko niektórym udaje się wyjść cało z opresji. Odpowiedź na pytanie, kto przetrwa, jest właściwie jedyną zagadką filmów o nawiedzonych miejscach. Reszta to gra schematami, którą bardzo szybko i łatwo można rozgryźć.

## POWTARZALNOŚĆ W CENIE

Ta ewidentna, bezwstydną wręcz powtarzalność, tak mocno krytykowana w innych gatun-



kach filmowych, w przypadku *haunted house movies* paradoksalnie okazuje się atutem.

Zdaniem Krzysztofa Gonerskiego, redaktora naczelnego portalu Horror Online, popularność tego typu produkcji wynika z faktu, że widzowie lubią oglądać na ekranie to, co doskonale znają, a niewątpliwie konwencja filmów o złowrogich domach jest miłośnikom filmowej grozy znana bardzo dobrze. Poza tym – i jest to mniej oczywista odpowiedź na pytanie o fenomen motywu nawiedzonego domu – sukces tego rodzaju obrazów może wynikać z podobieństwa przeżyć filmowych bohaterów i widzów. *Chodzi o to, że fabuły tego rodzaju filmów zawierają elementy bliskie doświadczeniu odbiorców. Są nimi dom i rodzina. Nie chcę przez to powiedzieć, że każdy z widzów mieszka z rodziną w domu nawiedzonym przez duchy, ale jedynie, że większość odbiorców posiada domy i jest członkiem takiej czy innej rodziny, a jeśli groza wiąże się z elementem pozafilmowej rzeczywistości bezpośrednio dotyczącym widza, staje się o wiele bardziej przerażająca. A jeśli jest bardziej przerażająca, filmowcy częściej po nią sięgają* – mówi Gonerzski.

Z jego opinią zgadzają się psychologowie. Czasem to, czego się boimy, staje się dla nas atrakcyjne. Wobec nawiedzonych domów z opowieści naszych dziadków żyjemy pewne obawy, więc szukamy czegoś, np. filmu, co uzewnętrzní nasze lęki, a w efekcie umożli-

Kadry z filmów: „Amityville Horror”, „Paranormal Activity”, „Szepty” oraz „Nawiedzony”





MARCIN ZWIERZCHOWSKI

# CHAOS ABSOLUTNY

CZ. 2

**„PAMIĘĆ ABSOLUTNA” ZE SCHWARZENEGGEREM RODZIŁA SIĘ  
W BÓLACH AŻ 15 LAT. ROZPOCZYNAJĄC PRACĘ NAD KONTYNUACJĄ,  
SCENARZYŚCI NIE SPODZIEWALI SIĘ, ŻE EFEKTEM BĘDZIE NAKRĘCONY  
PRZEZ KOGOŚ INNEGO REMAKE.**

Rzecz nie do pomyślenia – film podbija box office, widzowie są zachwyceni, scenarzyści zgłaszają chęć kontynuacji, a studio kręci nosem. Na początku lat 90. ubiegłego wieku na sequele patrzono jak na filmy gorszego sortu – zmieniały to dopiero sukcesy kontynuacji „Obcego” i „Terminatora”. Kiedy więc Goldman i Shusett, autorzy scenariusza do „Pamięci absolutnej”, wyrazili chęć nakręcenia kontynuacji hitu, niespecjalnie ich słuchano.

## KOLEJNE BANKRUCTWO

Niedługo później Goldman nabył prawa do ekranizacji innego opowiadania Philipa K. Dicka, „Raportu mniejszości”. Plan był taki, że sam stanie za kamerą, a film będzie produkcją niskobudżetową. Zdanie zmienił pod wpływem Paula Verhoevena, reżysera „Pamięci absolutnej”, którego poprosił o zaangażowanie w charakterze producenta (jego nazwisko pomogłoby w zainteresowaniu projektem studia). Holender zasugerował, że historia świata, w którym zdolności jasnowidzenia są wykorzystywane do walki z przestępczością, świetnie nadawałaby się na kontynuację opowieści o Quaidzie i Marsie. Połączenie fabuły „Pamięci absolutnej” i „Raportu mniejszości” byłoby stosunkowo łatwe – w tym pierwszym zawarte były sugestie, jakby marsjańscy mutanci mieli prekognickie zdolności. Zastąpiliby oni jasnowidzów z oryginalnego opowiadania, zaś szefem organizacji zajmującej się prewencyjnym aresztowaniem przyszłych przestępców zostałby Quaid.

Verhoeven chciał powrócić na stołek reżysera. Powstał scenariusz, w międzyczasie do projektu dołączył Shusett, a Arnold Schwarzenegger zgodził się ponownie wcielić w głównego bohatera. Łada dzień miały rozpocząć się zdjęcia. I wtedy studio znów zbankrutowało.

Prawa do „Raportu mniejszości” przejęło 20th Century Fox. Verhoeven, wedle jego relacji, został wygryziony z projektu. Przez chwilę z filmem kojarzono jego rodaka, Jana De Bonta („Speed”), ostatecznie studio zdecydowało jednak o nakręceniu samodzielnego filmu. Mijały lata, wreszcie scenariusz trafił do Stevena Spielberga, któremu się nie spodobał. Dopiero osobiste spotkanie ze scenarzystami sprawiło, że zmienił zdanie, ściągnął Toma Cruise’a – i w 2002 roku „Raport mniejszości” trafił do kin.

## ARNOLD ODMAWIA

To nie był koniec „Pamięci absolutnej”. W 1997 roku prawa do nakręcenia prequela, sequela i remake’u kupił oddział Disneya, Dimension Films. Planowano nakręcenie kontynuacji, w której powróciłaby cała stara ekipa, z wyjątkiem Verhoevena, którego ostatni film, „Showgirls”, był kosztowną kląpą. Do napisania scenariusza palili się dwudziestodwuletni Matt Cirulnick, któremu nikt nie chciał powierzyć tak dużego przedsięwzięcia. Naciskał więc na swoich agentów, chodził, nagabywał i tak długo męczył władarzy studia, że ci ostatecznie dali mu zielone światło.

Wtedy jednak okazało się, że Shusett i Goldman zapewnili sobie w kontrakcie prawo do napisania pierwszej wersji scenariusza sequela „Pamięci...”. Studio było zmuszone ich zatrudnić. To był maj 1998, Schwarzenegger wziął udział w czterogodzinnym spotkaniu z producentami, film dostał zielone światło.

Shusett i Goldman kolejny raz chcieli zwodzić widza, by ten nie wiedział, co jest rzeczywistością, a co zaimplantowanymi głównemu bohaterowi wspomnieniami. Ich scenariusz zaczynał się od uroczystości związanych ze zdobyciem przez Mars niepodległości. Quaid i Melina mieli być uhonorowani przez panią prezydent



# Płaska Ziemia z lamusa



Agnieszka Haska



Jerzy Stachowicz

Jeśli nie uwierzyliście zwolennikom opisywanej w poprzednim odcinku teorii pustej Ziemi, to może reprezentujecie ukrytą opcję płaską.

Ziemia jaka jest, każdy widzi – to znaczy jest płaska, składa się głównie z lądu otoczonego niezbyt imponującym oceanem, czy właściwie gigantyczną rzeką. Zresztą daleko od brzegu nie warto się zapuszczać, bo można spaść z krawędzi Ziemi w niezbadaną otchłań. Pomysł, że morze jest przerośniętą, słoną rzeką, nie był pozbawiony sensu, zwłaszcza że mocne lobby płaskiej Ziemi działało w starożytnej Mezopotamii i Egipcie, czyli w kulturach nadrzecznych. Babilończycy pozostawili nawet potomnym słynną mapę świata. Wryta na glinianej tabliczce pokazuje, że okrągły kontynent otoczony jest pasem morza z wyspami. Podobnie myśleli Egipcjanie. Te wizje nie powalały rozmachem.

Świat kultur basenu Morza Śródziemnego był zupełnie innym światem, niż ten znany w Chinach

czy Indiach. Mieszkańcy Państwa Środka, zgodnie z nazwą uważali, że środek ziemskiej tarczy znajduje się w ich cesarstwie. Zresztą, niekoniecznie musiała być to tarcza, gdyż Chińczycy optowali za kształtem kwadratu. W płaską Ziemię pływającą na powierzchni oceanu wierzyli również Japończycy. Teoria była idealna dla wyspiarzy borykających się z wulkanami i tsunami.

Z koncepcją płaskiej Ziemi wiąże się również wizja Axis Mundi. Środek świata mógł przybierać postać góry, drzewa, słupa, kolumny itp. Starożytni Hindusi w eposach przedstawiali Ziemię jako kwiat lotosu. Jego środek, a zarazem centrum świata tworzyła Meru, mityczna góra o złotych stokach zamieszkała przez bóstwa. Niczym płatki kwiatów otaczały ją cztery kontynenty obmywane przez wody czterech oceanów. Ta poetycka wizja nie

przeszkodziła mieszkańcom Indii, podobnie jak Chińczykom, w odbywaniu imponujących podróży morskich. Podobną wizję świata i jeszcze większe zapędy podróżnicze reprezentowali Wikingowie. Jak wie każdy fan fantastyki, Midgard – świat zamieszkały przez ludzi, był położony na środku oceanu, a rolę Axis Mundi pełniło drzewo Yggdrasil.

## TRZECH PANÓW NA DYSKU

Ideę kulistej Ziemi wylansowali przede wszystkim starożytni Grecy, jednak Homer, Hezjod oraz pierwsi greccy filozofowie wcale nie byli zwolennikami kulistości. Na przykład Anaksymander uważał, że Ziemia unosi się na środku oceanu niczym okręt. Jego kolega Anaksymenes twierdził z kolei, że Ziemia ma kształt dysku, który unosi się

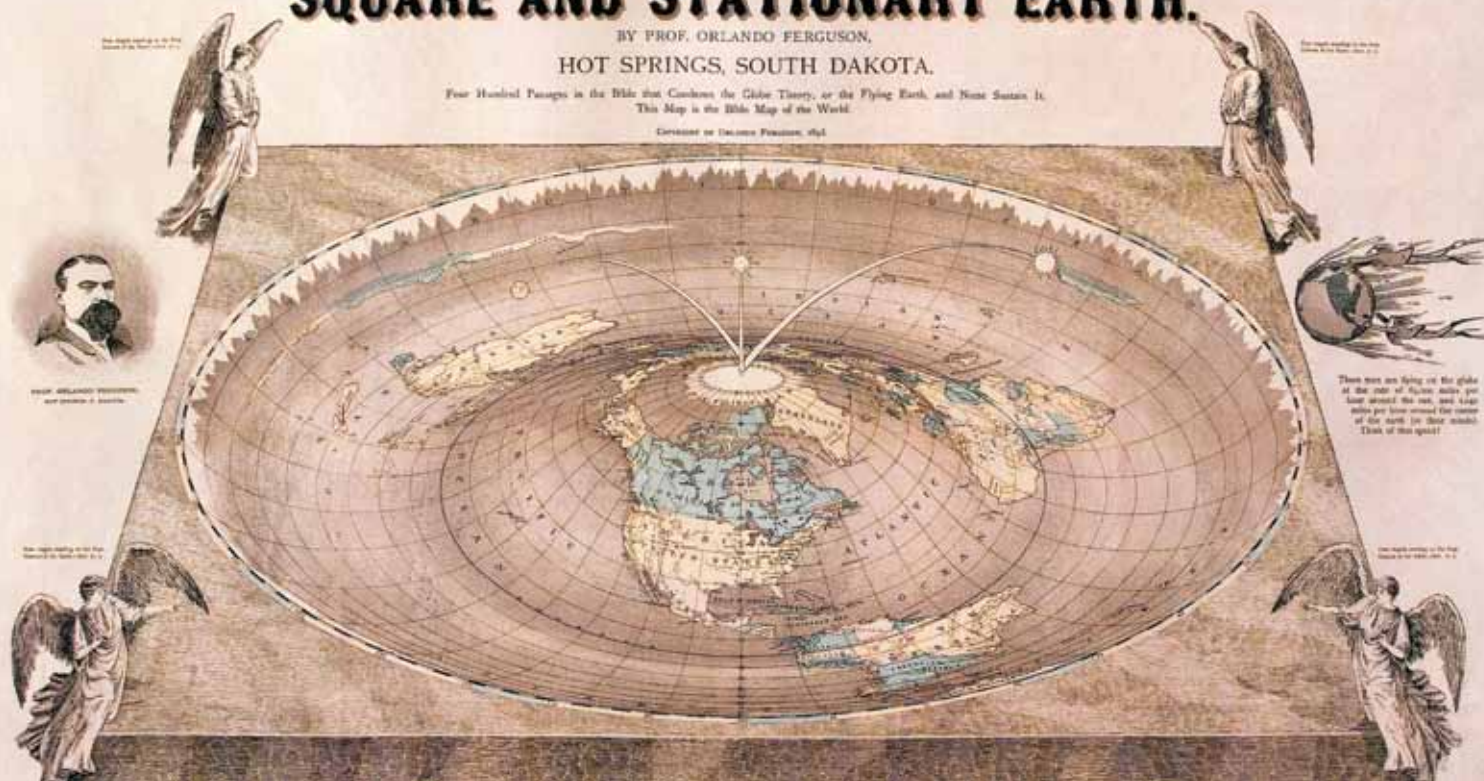
## MAP OF THE SQUARE AND STATIONARY EARTH.

BY PROF. ORLANDO FERGUSON,

HOT SPRINGS, SOUTH DAKOTA.

Four Hundred Passages in the Bible that Confirm the Globe Theory, or the Flying Earth, and None Sustain It. This Map is the Bible Map of the World.

Copyright © Orlando Ferguson, 1914.





# POWRÓT (DO PRZESZŁOŚCI) STRAŻNIKÓW

MICHAŁ CHUDOLIŃSKI



**SKANDAL! – KRZYCZĄ FANI. ZNIEWAGA ŚWIĘTOŚCI – DENERWUJĄ SIĘ TWÓRCY. MIMO OBURZENIA, DC COMICS PRZEKSZTAŁCA KULTOWYCH „STRAŻNIKÓW” ALANA MOORE’A I DAVE’A GIBBONSA W KOLEJNĄ FRANCZYŻĘ. CO MÓWI TO NAM O ŚWIECIE KOMIKSÓW I KULTURZE MASOWEJ?**

**P**omysł reaktywowania takich postaci, jak Rorschach, Nocny Puchacz czy Ozymandiasz nie pojawił się nagle. Od kilku lat był obgadywany jako plotka, miejska legenda w kuluarach amerykańskiego środowiska komiksowego. Dan DiDio, obecnie jedna z ważniejszych osób w DC Comics, mówi wprost: *Od 2002 roku, kiedy stałem się wiceprezydentem redakcyjnym DC, wszedłem do tamtejszej biblioteki w celu znalezienia koncepcji i idei mogących ruszyć wydawnictwo do przodu, na których moglibyśmy budować nasz sukces. A jakie postaci i historie cieszyły się największą popularnością? Strażnicy byli na szczycie zestawienia. Był to fundament, na którym mogliśmy tworzyć kolejne historie.*

## **CZASY WCIAŻ SIĘ ZMIENIAJĄ...**

Jak przyznaje sam DiDio (obecnie jeden z głównych kierowników DC), przywrócenie „Strażników” na rynek nie miało wtedy racji bytu. Głównie dlatego, że w firmie pracowali

jeszcze osoby pamiętające pracę nad tą legendarną miniserią, z Paulem Levitzem, ówczesnym dyrektorem DC Comics, na czele. Będąc szefem Levitz poprzysiągł sobie, że nigdy nie dopuści do kontynuowania sagi Moore’a, mając przy tym na względzie zarówno reakcję fanów, jak i całego przemysłu komiksowego. Nic dziwnego. „Strażnicy”, jako jeden z nielicznych komiksów, otrzymał nagrodę Hugo, a w zestawieniach takich periodyków jak „Time” czy „New York Times” plasuje się jako jedna z najważniejszych książek ubiegłego stulecia. W odczuciu Levitza „Strażnicy” byli dziełem skończonym, nie potrzebującym spin-offów ani przetwarzania go w markę.

Czasy jednak, jak śpiewał Bob Dylan, wciąż się zmieniają. Z gwardii twórców i redaktorów publikujących w latach 80. klasyki DC Comics w wydawnictwie pozostawało coraz mniej osób. Sytuacja na rynku pogarszała się. Ludzie porzucali branżę komiksową na rzecz filmów lub gier komputerowych. Potrzebna była wymiana poko-

leń, aby pojawiło się nowe spojrzenie. W 2009 Warner Bros, właściciel DC Comics, postanowił przekształcić wydawnictwo w dział większej całości – DC Entertainment, Inc., zajmujący się promocją bohaterów DC w różnych mediach. Paul Levitz przekazał swoje obowiązki Diane Nelson, osobie odpowiedzialnej za wypromowanie Harry’ego Pottera, samemu zadowolając się rolą konsultanta. Tak oto koncernem zaczęły rządzić osoby, które, nie przykładając wagi do zasad wcześniejszych zarządów i redakcji, poprzez odważne decyzje miały przyciągnąć nowych czytelników, jednocześnie nie tracąc starych. Furtki możliwości zostały otwarte, więc DiDio mógł spokojnie wprowadzić w życie swoje plany względem „Strażników”. Tym samym doprowadził do wściekłości pewną znakomitość.

## **FURIA MERLINA**

Mowa oczywiście o Alanie Moorze, scenarzyście „Strażników”, jednym z najbardziej kreatywnych ludzi współczesnej kultury an-





# DZIEDZICTWO DIUNY

ANDRZEJ KACZMARCZYK

MÓWI SIĘ, ŻE WYDANA W 1965 ROKU  
„DIUNA” JEST DLA SF TYM, CZYM  
„WŁADCA PIERŚCIENI” DLA FANTASY.  
CZY DZISIEJSZE SF FAKTYCZNIE  
MA W SWOIM DNA „DIUNĘ”?

Nadużywane obecnie słowo „epicka” pasuje do „Diuny” jak rzadko. Fabuła, tocząca się w osadzonej w odległej o wiele tysięcy lat przyszłości, przedstawia losy młodego Paula Atrydy, dziedzica księcia Leto. Rodowi Atrydów powierzona zostaje piecza nad jedyną planetą, na której wydobywany jest „melanz”, bezcenna substancja pozwalająca wydłużać ludzkie życie, a nawet obdarzyć niektórych niezwykle psychicznie zdolnościami, niezbędnymi nawigatorom do międzygwiazdnych podróży. Przywilej jest w rzeczywistości elementem spisku Imperatora i od pokoleń wrogiemu Atrydom rodu Harkonnenów. Jednocześnie z walką o władzę i spiskami, „Diuna” to rozważania nad wszystkim – od ekologii, przez korupcję, po religijny fanatyzm.

Spod pióra tego samego autora wyszło jeszcze pięć kolejnych tomów. Po śmierci Herberta jego syn Brian, z pomocą Kevina J. Andersona opublikowali kolejne jedenaście (jak dotąd) prequeli, sequeli, interqueli i Bóg-wie-co-queli arcydzieła. Jednak to pierwsza część sagi pozostaje najlepiej znana szerokiej publiczności. Zapewne dlatego, że mało kto, oprócz zapalonych fanów tego uniwersum, sięgnął po kolejne tomy, ale przede wszystkim za sprawą licznych adaptacji, które przeniosły historię pustynnej planety Arrakis do wszelkich możliwych mediów. Dzisiejsze SF w każdej postaci ma w swoim DNA „Diunę”.

JEST ROK 10191  
I NIKT NIE WIE, O CO CHODZI

Lata 70. filmowa adaptacja Diuny spędziła w tak zwanym *development hell*. Do przeniesienia powieści Herberta na ekran przymierzał się już w 1973 roku producent „Planety Małej” Arthur Jacobs. Niestety, zmarł na atak serca,

zanim prace nad filmem mogły się rozpocząć. Dwa lata później za swoją wersję zabrał się **Alejandro Jodorowsky**. Jego wizja to jeden z tych wielkich niezrealizowanych projektów, od których aż kręci się w głowie. Imperatora Shaddama IV miał zagrać Salvador Dali, barona Harkonnena Orson Welles, za muzykę odpowiadać miał między innymi zespół Pink Floyd, a za stronę wizualną odpowiadali Moebius i H.R. Giger. Według słów samego Herberta, film oparty na scenariuszu Jodorowsky’ego, opasłym tomie rozmiarów książki telefonicznej, trwałby czternaście godzin. Nie trzeba dodawać, że cały projekt był równie imponujący co niedorzeczny i nigdy nie wyszedł poza preprodukcję, która i tak zdążyła pochłonąć dwa miliony dolarów z opiewającego na 9,5 mln budżetu.

W 1979 roku prawa do ekranizacji sprzedano producentowi Dino DeLaurentiisowi, który z kolei powierzył reżyserię **Ridleyowi Scottowi**. Scott zamierzał zrealizować „Diunę” jako dylogię, lecz zrezygnował z udziału w projekcie po tragicznej śmierci brata, nie czując się na siłach, by mierzyć się z przedsięwzięciem, które według przewidywań miałoby zająć co najmniej dwa i pół roku. Ostatecznie zdjęcia ruszyły sześć lat później, po przekazaniu steru **Davidowi Lynchowi**.

Film Lynchę można opisać wieloma słowami, ale tym kluczowym bez wątpienia jest „kontrowersyjny”. To adaptacja jednocześnie fatalna i idealna, dzieło naprawdę wyjątkowe, fascynujące i nie bez powodu kultowe, ale również po prostu dziwaczne i kompletnie niezrozumiałe dla widzów nie znających prozy Herberta. Z kolei dla wielu jej fanów to nieudana trawestacja książki, która gubi wszystko, co było istotne dla pierwowzoru.

Nie można jednak zaprzeczyć, że Lynch

stworzył film widowiskowy i (znow to słowo) epicki. W obsadzie znaleźli się wybitni aktorzy: Patrick Stewart, Max von Sydow, Jürgen Prochnow, Brad Dourif oraz... Sting. Muzyka autorstwa zespołu **Toto i Briana Eno** pozostaje jednym z najlepszych soundtracków w historii kina SF. Wszystko to, wraz ze szczególnym, określonym przez recenzentów jako „barokowe noir” stylem widocznym w scenografii i kostiumach, pozwoliło Lynchowi stworzyć jeden z najbardziej pamiętnych filmów dekady, mimo przewagi negatywnych ocen i komercyjnej porażki. „Diuna” Lynchę to niezwykle sugestywny obraz, niezależnie od wszelkich różnic bardzo bliski powieści Herberta. Sam pisarz wypowiadał się o nim bardzo pozytywnie. Trudno po obejrzeniu tego filmu widzieć świat Arrakis inaczej, niż przedstawił go Lynch. Nawet przy wszystkich słabościach zagmatwanego scenariusza i akcji grzęznącej przez wewnętrzne monologi głównych bohaterów, dla wielu wersja Lynchę jest definitywnym obrazem „Diuny” i wszystkie kolejne adaptacje będą istniały w jej cieniu.

KTO ODCINA KUPONY,  
KONTROLUJE WSZECHŚWIAT

W latach 1977-86 Marvel wydawał osobną serię „Marvel Super Special” poświęconą w większości (niezbyt dobrym) adaptacjom filmów takich jak „Blade Runner”, „Ciemny Kryształ” czy „Powrót Jedi”. Kiedy w 1986 wydano komiks na podstawie filmowego „Kaczora Howarda”, kontinuum czasoprzestrzenne implodowało i serię anulowano. Ale zanim to nastąpiło, scenarzysta **Ralph Macchio** zdążył przełożyć film Lynchę na język komiksowych kadrów. Mało kto o tym „dziele” dzisiaj pamięta, a jest to rzecz co najmniej interesująca, choć w żadnym wypadku dobra.

# KHULLÉ

Ewa Bury

*„Przebiec przez siwy horyzont. Srebro łodyg i gładki chłód skórzanych kamieni. Rozgarniać liście. Wciągać głęboko do płuc zapachy ziemi, chłód wody, ogrom łąki. Sycić się mądrością wielkich drzew”.*

– Khullé... to moje imię. Ja, Khullé... biegnę od trzech kwadratów. W stronę tańczącego drzewa. A czarny ptak wciąż siedzi i siedzi. Patrzy jednym mrocznym okiem. Tkwi tam, gdzie usiadł zeszłego poranka.

*„Gęsty, biały deszcz omywa pustą ziemię. Tu kiedyś była zielona, złota, czerwona i cytrynowa łąka. Tak, jeszcze miesiąc temu. Czas jakiś temu dojrzewały tu pola, lekki wiatr kołysał galezie”.*

– Niebo jest różowe, niebo jest zielone. Wiatr niesie biały pył. Nie wiem, co to jest miesiąc. Nie wiem, co to są pola. Zmierzam w stronę tańczącego drzewa.

## SREBRNY CZŁOWIEK

Od czasu, kiedy Khullé ujrzała Srebrnego Człowieka nie zaznała spokoju. Trzy słupy na kamiennym dziedzińcu Domu zdążyły wypełnić się kwadratami, a ona siedziała milcząca w swojej kryjówce z betonu i popękanego, szerniałego szkła. Trzy słupy. Tyle właśnie czasu i miękkiej objętości wypełniło się po sam dach Domu od tamtej chwili.

Srebrny człowiek nie miał oczu, ust, ani włosów. Nie przeszkadzało mu to jednak poruszać się z drapieżną giętkością i łapczywie gromadzić przedmioty. Khullé obserwowała go ze strachem i ciekawością. Serce rosło w niej boleśnie. Kuląc się w jamach, czołgając się i skradając za murem, śledziła jego ruchy. Zbliżała się do niego nieubłagane. Ścisnąc w dłoni lśniący drag, który znalazła w Mieście, powoli okrążała srebrnego człowieka, wydeptując spiralną ścieżkę w białym pyłe.

Tymczasem srebrny człowiek wrzucił do worka kilka przedmiotów i zawrócił w stronę placu. Wsiadł tam do złotej kuli i uniósł się do zielono-czerwonego nieba, ciągnąc za sobą szary ogon dymu. Na placu pozostał ciemny, owalny ślad, jak po wygasłym palenisku. Utrzymywał się pół słupek kwadratów. Potem wiatr naniósł grubą warstwę miękkiego, białego pyłu – znak, że pora burz już blisko – i ślad zniknął.

Przez trzy słupy Khullé obserwowała ten ślad przez szparę w murze. Widziała, jak stopniowo przykrywa go pył i ubywa go niczym księżyc na niebie.

Kiedy wreszcie odważyła się wyjść na próg Domu, cisza okrywała ziemię jak przedburzowy pył. Trawa w załomie muru była złota. Wysoko, nad głową gromadziły się brunatno czarne chmury.

Srebrny człowiek więcej nie wrócił. Mimo to Khullé przechodziła codziennie przez plac, pielęgnując wspomnienia, splatając z myśli pomosty do niedawnej przeszłości, dopo-

wiadając swoje własne zakończenia i początki, wstawiając nowe wątki.

...Oto Srebrny człowiek chce ją zabić, ale ona, Khullé, obezwładnia go jednym ciosem błyszczącej pałki i zaciąga do Domu, tam go cuci i po jakimś czasie zawierają przyjaźń.

... Srebrny człowiek przybywa do Khullé z listem od Starej Kobiety, która po śmierci zamieszkała na innej planecie. Srebrny człowiek buduje wielki dom, sadzi drzewa, odnajduje źródło wody. Srebrny człowiek przylatuje ze Srebrną Kobieta, zapraszają Khullé na obiad i proszą ją o opiekę nad ich ogrodem, ruczajem, sadem, polem, łąką i krową. Srebrny człowiek przywozi Starą Kobieta, a potem wszyscy po obfitej kolacji odlatują złotą kulą do Białego Wiru.

Nocami, na małej łące za Domem, obserwowała gwiazdozbiór Białego Wiru. Tuż przed porą burz, jasna plama gwiazdozbioru, z cienkimi odnóżami po bokach, wisiała nad Domem niczym ogromny, srebrny krab. Nad ranem wsiąkała się w mleczny horyzont i ustępowała słońcu.

Khullé martwiła się. Kończyły się zapasy jedzenia. Jaszczurki, małe węże i wielkie stada ptaków uciekały na południe. Powinna już dwa dni temu spakować się i odejść do Miasta. Na granicy pustyni zgromadziły się brzuchate, gęste chmury – sine i opuchnięte niczym kilkudniowa padlina. To znaczyło, że wnet nadbiegną piaskowe tornada.

Kwiaty burzowych eksplozji na horyzoncie wyrastały coraz wyższe i wyższe. Z dnia na dzień powietrze wypełniało się niepokojem. Nadciągały wichury jak armie stalowych walców. Niebo gotowało się i kipiało kurzem, błotem i żwirem. Powietrze pachniało rozgrzany metal, a echo niesło głębokie dudnienie. Nie można tu było dłużej zostać.

Rankiem, Khullé zastała Dom zasypany do połowy. Na szczęście był to jeszcze dość lekki pył. Spakowała plecak. Zamknęła i uszczelniła drzwi, i odeszła do Miasta. Srebrny człowiek nie nadleciał.

## KULA BRARRA

Ze wzgórz, wznoszących się obok pustyni, Miasto wyglądało jak przecięta na pół szklana kula. Wschodnia połowa, popękana i pokruszona, głęboko wbita w ziemię, była niemal martwa. Druga, zachowała się w nienaruszonym stanie. Zachodzące słońce przeglądało się w niej zalewając ją po brzegi różowo złotym deszczem światła, zamieniając powoli w purpurowy kwiat.

*Dawno, dawno temu, przechodził opodal olbrzym Brarr – wojownik o wielkim sercu, a zarazem mistyk – samotnik. Był tak wielki i ciężki, że wzgórza ugięły się pod jego stopami, a drzewa pochylały się gięty do ziemi od wiatru, jaki wzbudzały jego stopy. Bronią Brarra był okrzyk, którym mógł kruszyć*



# DO ZWARTEGO ZAKŁĘCIA

Adam Synowiec

Strzała, a potem jeszcze dwie wyleciały z brzeziniowego młodniaka. Pierwszą przegapiłem, bo nie była przeznaczona dla mnie. Bełt utkwiał w obręczy tylnego koła jednego z naszych wozów.

Dwa następne pociski chciały mnie zabić. Poraziłem je falą gorącą. Metalowe groty jakby ugrzęzły w gęstym powietrzu, rozżarzyły się do białości i spłynęły na piasek ognistymi kroplami. Bełty musiały mieć w sobie ładunek magiczny, bo ich drzewce z opóźnieniem wybuchły białym płomieniem, który jakoś pokonał słabnącą osłonę ciepłą pierwszego czaru. Energia ognistych lanc wypaliła się bezpiecznie na kilka łokci przed moją piersią chronioną srebrnym czarpancerzem.

— *Obtentus presydio cyrkumplexus* – wyrecytowałem, szeroko rozpościerając ramiona.

Powietrze zasyczało. Niewidzialna *skutis* oddzieliła moich ludzi od drzew. Magiczny puklerz był za słaby, żeby przechwycić nowe dziesiątki wystrzelonych pocisków, ale kilkanaście na pewno zneutralizuje. Poparzy boleśnie też samych napastników, jeśli zdecydują się na bezpośredni atak.

Moi rajтары z obnażonymi pałaszami w dłoniach rozbiegli się po obwodzie, osłaniając wozy z towarem. Kilku zdjęło łuki, rozglądając się czujnie za wrogimi strzelcami. Nigdzie nie mogłem dostrzec tchórzliwego dowódcy mojej ochrony. Powinien wspierać moją tarczę własnym czarem. Dupek.

Kiedy bacznie lustrowaliśmy zieleni nagle huk rozerwał powietrze. To pierwszy z bełtów eksplodował z opóźnionym zapłonem. Kula lepszego żaru pochłonęła tył ostatniego z wozów. Niebieski ogień trawił budę i ładunek. Spłoszone konie próbowały zerwać się do ucieczki, ale zaprzęg blokowała inna furmanka. Woźnica w płonącym kubraku wrzeszczał ze strachu, biegnąc ile sił w nogach w stronę rzeki, nad którą stacjonowaliśmy.

— Stój! Nieee... – próbowałem go zatrzymać. Ogień najpewniej był magiczny. Woda go nie ugasi, a pewnie tylko podsyci żar.

Kapral Sabic rzucił się pod nogi człowiekowi-pochodni. Garściami zagarniał piach, którym chciał zdławić płomienie pożerające ciało ofiary. Nie zdążył.

Furman z wrzaskiem wskoczył w mętą wodę. Ogień rozjarzył się oślepiającym błękitem, na chwilę objął całe ciało ofiary i zgasł jak zdmuchnięty. Krzyk się urwał. Na powierzchni wody unosiło się tylko kilka ugotowanych ryb i częściowo spopielony rajterski but.

## 2.

W Latencji z miesiąca na miesiąc robiło się coraz bardziej niespokojnie. Dlatego ludzie prefekta długo próbowali mi perswadować pomysł podróży do Adrumetus. Byłem uparty, zakomunikowałem, że cokolwiek by się działo udaję się na targ do *asty* po części do nowych przyrządów magicznych. Przez tego durnia Kellusa na jakiś czas musiałem pilnie wynieść się z rodzinnych stron. Przynajmniej na *ebdomas*, może dwa. Ta decyzja to był mój pierwszy błąd, wart prawdziwie ordynarnej, plebejskiej inwektywy. Bo my, czarkrwiści, mieliśmy zaklęcia, tamci tylko przekleństwa.

— Przeszukaliśmy krzaki. Żadnych śladów. Był tylko jeden snajper. Nie mam pojęcia, jak zdążył w takim tempie wypuścić trzy strzały. Wyglądały na magiczne. Uciekł konno.

Podoficer Sabic miał na rękawie kapraleskie romby z krzyżykiem, a więc w służbie prefekta dosłużył się stopnia kakuli. Wzrok miał czujny, lewy policzek przecinała brzydka blizna, schowana pomiędzy kędzierzawym włosem siwiejącej brody. W oddziale był drugim po Buelli.

— Miał kuszę. I to pewnie maszynową. Ponoć robią takie w Kanzej... – zastanawiałem się głośno. Jeśli bełty były zaklęte to snajper musiał być czarkrwiستم. Kimś z kasty malefikus. Kimś kogo mogłem nawet znać.

— Co z furmankę? Ogień zniszczył coś ważnego? – Miałem nadzieję, że to nie były zbroje magiczne mojej roboty, zamówione przez ważnego klienta.

Kakula Sabic ze zrozumieniem popatrzył mi w oczy i pokręcił głową:

— Pancerce są na pierwszej furmance. Były bezpieczne. Tak jak sztaby srebra i miedzi na drugim, co je wieziemy do obróbki na *instrumenti* w kuźniach miasta. Na ostatnim wozie były same duperele: klatki ze śpiewającymi pawiami, kury znoszące szmaragdowe jaja, mrówki miodne i takie tam... Prawie wszystko się sfajczyło – wzruszył ramionami.

Szmaragdowe kury czy mioduchy leżały się w każdej zagrodzie naszej *oppidii*. O następne nie będzie trudno. Moje czarkirysy, czy sztaby srebra to co innego. Wymagały wiedzy, czasu i wiele pracy.

Dla spokoju i bezpieczeństwa przewodzącego magię metalu nie dawaliśmy plebsowi. Żadnego zbędnego kawałka. Mogli go posiadać tylko czarkrwiści. Z rudy wydobywanej w górskich kopalniach pod ścisłą kontrolą wytapiano metalowe bryłki. Potem formowano je w dokładnie ważone sztabki. Rzemieślnicy, którym zlecano ich przeróbkę na konkretne wyroby musieli się wyliczyć z każdej uncji miedzi, srebra, złota czy ołowiu.

— Coś zostało z tego pechowego wojaka? Coś, co moglibyśmy pogrzebać z honorem?

Sabic bez słowa wyciągnął zza pleców jedynie fragment przy-smażonej żelówki.

— Może to i dobrze. W końcu miał wymarzony pogrzeb. W komplecie byli obecni jego wierni towarzysze broni. Ceremonię uświetniły magiczne ognie. Jego ciało skremowano, a prochy rozrzucono pośród dzikiej natury. Złożono nawet żywe ofiary ku czci. Ryby. Gotowane. Każdy by tak chciał – zarechotałem z gorzką ironią.

— To był dobry żołnierz – odezwał się niepytany Sabic. Tym razem mu wybaczyłem.

## 3.

— Uważam, że pora byłaby zawrócić. Czy ruszamy niebawem, mój panie? – Zza szerokich pleców kakuli wychylił się dekurio. Kolana, czoło i łokcie miał wysmarowane sokiem z rozniecionej zieleniny. Zauważyłem, że „mój panie” przeszło Bullei przez gardło jak pacyna

# OPOWIASTKI O SIEDMIU DŻINACH

*(Tales of the Seven Djinni)*

Mike, Linda i Louise Careyowie

## CO WIADOMO, A CO JEST NIEZNANE

O siedmiu dżinach niewiele rzecz można z całą pewnością. Ci, którzy je spotkali, na ogół niechętnie wypowiadają się na temat tego, co widzieli, bądź z dobrych i wystarczających powodów nie są w stanie udzielić komentarza.

Choć opisy istnieją, są pełne sprzeczności. Niektórzy mawiają, że dżiny mają ogromne i przerażające rozmiary, inni, że brzęczą dokoła głowy niczym muchy i rozbrzmiewają w uchu cieniutkimi głosami, niemal za wysokimi dla ludzkiego ucha. Niektórzy przydają im kły, inni skrzydła, a ten czy ów wręcz żadnych kończyn czy cech w ogóle, poza bezmiernymi i bezkształtnymi ciałami rozrywanych nieustannym ruchem niczym cielące się lodowce.

Nawet co do ich liczby nie ma powszechnej zgody. Większość źródeł wspomina o siedmiu, lecz co poniektóre robią to z nutką rozkładania rąk i rezygnacji. Kilka dowodzi ich ciągle zmieniającej się liczby, dżiny bowiem nie są uwiązane do ciał, mogą tedy formować się w dowolne szyki i falangi, łącząc się i dzieląc wedle uznania.

Co ciekawe, największa jednomyślność panuje w kwestii tego, jak je znaleźć. Każdy ci powie, że najlepszy sposób to opuścić swoje miasto w godzinę przez zachodem słońca i przez trzy dni wędrować prosto na Zachód. Tuż przed zmrokiem trzeciego dnia trzeba ci wypatrywać skały, której czubek przypomina palce wzniesionej do góry dłoni; tę należy mieć ciągle po swej lewicy, idąc dalej przez kolejną godzinę.

Gdy światło przygaśnie, dotrzesz do wylotu wąwozu. Nie zechcesz doń wejść, gdyż ciemność w nim zda ci się innego rodzaju, niż ta zbierająca się wokół ciebie. Wejść jednak musisz, i to chybką, bo trochę jeszcze drogi przed tobą, a czas, w ciągu którego odnaleźć można jaskinię dżinów, jest zaiste wielce ograniczony.

Wejść tedy do wąwozu i liczyć iglice skalne po swej prawicy. Pierwsze trzy przypominają będą włócznie niemych ludzi stojących na straży. Potem miniesz kolejną trójkę, podobną włóczniom wzniesionym w geście groźby tudzież triumfu. I w końcu przejdiesz obok trójcy ułożonej jak włócznie wymierzone w twe serce.

Jeśli po następnych dziesięciu krokach nie trafisz do jaskini dżinów, to zmyliłeś drogę i musisz, na ile możesz, wrócić po swych śladach w ciemności. Niech Niestworzony będzie z tobą i cię prowadzi.

A jeśli odszukasz jaskinię, tedy powiadam raz jeszcze, niech Niestworzony będzie z tobą, znalazłeś się bowiem w największym niebezpieczeństwie, jakie kiedykolwiek

zaznałeś, a całe twe przyszłe losy są niczym jajko, które przerzucasz z ręki do ręki, niebacznym, że może upaść bądź się rozbić. Waż słowa. Powściągnij myśli.

*Baraha barahinei!*

Pewien kupiec przyszedł do dżinów, upraszając je, aby udzieliły mu bogactw, których nie zdoła zliczyć. Nie pomiarkował jednak, że w równaniu owym jest nie jedna, lecz dwie zmienne. Dżiny pomnożyły jego majątek dwudziestokrotnie i pomniejszyły jego rozum w jednakim stopniu, zmieniając go w rechoczącego półgłówka. Wtedy ani chybi miał więcej, niż umiał zliczyć – i choć jego bracia, i żony tychże, uwolnili go od większości, wciąż radował się z tego, co mu zostało, gdyż majątność i biedę miał teraz za jedno.

Mądra kobieta przyszła do dżinów, zaklinając je, by obdarzyły ją nieograniczonym zrozumieniem wszechrzeczy. Dżiny spełniły tę prośbę. Mądra kobieta poczuła, jak jej świadomość niczym promienie słońca ogarnia wszystkich rzeczy, wlewa się niczym woda w każdy zakątek Stworzenia, aż jej zrozumienie zaprawdę dorównało niemal świadomości samego Niestworzonego, tyle że On wie, co było przed Stworzeniem i co po nim nastąpi.

Mądra kobieta umarła późno nazajutrz, gdy pragnienie zmogło jej ciało. Jej umysł błędził po poziomach poemowanej harmonii tak wysoko nad sferą śmiertelnych, że nawet gdyby próbowała, nie mogła już znaleźć swej cielesnej strony, a jeśli znalazła, nie mogła odszukać drogi do wnętrza, tak dalece jej dusza przerosła swą dawną powłokę. Umarła w ekstazie – a kto wie, czy podług jej samej nie wyszła najlepiej na tym układzie.

Wielu przystępuje do dżinów z mniejszymi i skromniejszymi prośbami. Mściwy mąż, który nakrył żonę na zdradzie, prosił, żeby na nią i jej kochankę sprowadzić najgorsze udręki. Dżiny nawiedziły tych dwoje cudzołóżników, gdy leżeli w pocie spełnionej żądzy, i zespoliły ich w jedną niewymownie przedziwną istotę. Nie stali się hermafrodytą, w ścisłym tego słowa znaczeniu – po prostu tam, gdzie ich ciała się stykały, były nierozzerwalnie połączone. I tak przedramię mężczyzny uwieczniło w jednej z piersi kobiety, a dłoń pograżyła się w niej do reszty, jego członek zaś był przewodem zatopionym w jej udzie. Ręka kobiety wokół jego pleców wrosła w jego bark i stała się tam garbatym guzem, a ich czoła były jednakowo połączone, tak że nie mogli patrzeć nigdzie, chyba że w swoje oczy. Właśnie to, co dało im największą radość i rozkosz – cielesne zespolenie – stało się teraz powodem cierpienia i rozpacz.



# SYTUACJA

(The Situation)

Jeff VanderMeer

## JAK WSZYSTKO SIĘ ZACZEŁO: DEGRADACJA ISTNIEJĄCYCH PROCESÓW

Moja Kierownik była bardzo cienka, zrobiona z plastiku, plastiku pokrytego papierem. Wydawało mi się, że zawsze mieli nadzieję, że pewnego dnia jej serce zacznie bić, ale wciąż pozostawało suchym, unoszącym się w jej klatce piersiowej liściem, pobudzonym do ruchu wyłącznie przez oddech Kierownik. Czasami, kiedy była zła, stawiała się tak gorąca, że pokrywający ją papier zapalał się, a znajdujący pod nim plastik zaczynał topić. Nie wiedziałem, co w takich sytuacjach mówić. Wydawało się, że najlepiej milczeć i odwrócić spojrzenie. W miarę upływu czasu na porytym plastiku jej ramion pojawił się pejzaż chorych obrazów, lewiatanów, żaglowców wyłaniających się z pieniających się wirów i jeszcze dziwniejszych scen. Gapiłem się na nie, żeby nie musieć patrzeć jej w twarz. Nigdy nie poznałem jej imienia. Nigdy nie wyjawiono nam imienia naszej Kierownik. (Niektórzy i tak nazywali ją swoją Torturownik).

Kłopoty w pracy zaczęły się, kiedy wróciłem z dwutygodniowego urlopu, spędzonego w moim mieszkaniu w mieście. Właśnie wtedy moja Kierownik zmieniła nasze procesy. Odkąd pamiętam, zlecenia na wykonanie tworzonych przez nas żuków przychodziły do Oblesnej, mojej zwierzchniczki. Już prawie od dziewięciu lat robiłem żuki w ten sposób, dywan w moim biurze zaśmiecały ich błyszczące odwłoki, na stojącym w rogu stoliku leniwie poruszały się już wyklute albo dopiero wykluwające się projekty. Kiedy jednak zatrudniono Bliznę, by zastąpiła Morda, który przeszedł do kadr, proces się zmienił.

Zmartwiony, zwróciłem na to uwagę Bliznie podczas krótkiego okresu przejściowego, kiedy uczyłem ją, jak ma samodzielnie robić żuki. Tylko zaśmiała się i powiedziała:

– Może zmiana wyjdzie na dobre. Wszyscy przecież wykonujemy taką świetną robotę, to nie powinno mieć żadnego znaczenia.

Powinienem zaznaczyć, że „Oblesna”, „Mord” i „Blizna” to nie ich prawdziwe imiona. Kiedy ich poznałem, każde było tak samo z krwi i kości jak ja. Oblesna przypominała trochę żurawia i uważałem ją za swoją przyjaciółkę, tak samo zresztą jak Morda, zanim się przeniósł. Blizna z drugiej strony całymi dniami wpatrywała się w odbłaskowe powierzchnie i komplementowała tak wielu ludzi, że budziła we mnie obawę.

Kiedy wróciłem do pracy, zorientowałem się, że Oblesna i Blizna mają wspólne biuro i robią wszystko razem. Teraz, kiedy przychodziły zamówienia, informowano całą naszą trójkę i mogło się zdarzyć tak, że wszyscy zaczniemy pracować nad tym samym projektem.

Pamiętam, jak raz przyszedłem na spotkanie z Kierownik, trzymając w dłoni żuka, którego dopiero co skończyłem u siebie w biurze. Był szmaragdowy, długości dłoni, ale wąski i elastyczny. Miał delikatne czułki, skręcające się na końcach w lazurowe czujniki, jego błyszczący odwłok dzielił się na dwanaście idealnie równych segmentów. Żuk pasowałby idealnie do ucha ucznia, szeptem i stuknięciami przekazując mu wiedzę.

Blizna i Oblesna stworzyły jednak podobnego żuka.

Moja Kierownik pomyślała natychmiast, że to moja wina, i wybuchnęła płomieniami.

Oblesna wpatrywała się w Bliznę, która z kolei gapiła się w metaliczny blat stołu.

– Myślałam, że rozmawialiśmy z tobą o tym – rzuciła do mnie, nie odrywając wzroku od Blizny.

– Nie – odpowiedziałem, ale mój głos już się nie liczył.

Kierownik zmusiła mnie do włożenia żuka do swojego ucha, co było oczywistym marnotrawstwem, a w dodatku przyprawiło mnie o koszmary: śniłem o płonącym mieście, po którym przechadzały się gigantyczne mięsożerne jaszczurki, wyjadając z balkonów tych, którzy przeżyli. Szczególnie mocno przeżyłem chwilę, kiedy stałem na półce w ścianie, widząc zbliżające się do mnie szczęki, czując dochodzące od nich ciepło i smród gnijącego mięsa. Żuków przeznaczonych dla ścisłych, mocno zbudowanych umysłów dzieci nie powinni używać dorośli. Wciąż pamiętamy łagodniejszy, delikatniejszy świat.

Po tym początkowym problemie z komunikacją sytuacja się pogorszyła.

## ISTNIEJĄCE PROBLEMY MOJEJ KIEROWNIK

Dwa razy do roku moja Kierownik wzywała mnie do swojego gabinetu na pięćdziesiątym piętrze. Ktoś z kadr przychodził wtedy do mnie do biura i przymocowywał mi do kręgosłupa, przez specjalnie zaprojektowaną szczelinę w naszych strojach roboczych dużego ślimaka bez muszli. Pozwalało mi to przejść do wind i dotrzeć na górę do gabinetu Kierownik tak, żeby później nic z tego nie pamiętać. Kiedy przychodziła pora, żeby wrócić, przedstawiciel kadr na nowo przymocowywał ślimaka. Zawsze miałem wrażenie, że jest jednocześnie gładki i klejący się. I mokry, jak ostryga.

Co Kierownictwo próbowało ukryć między trzydziestym a pięćdziesiątym piętrem? Nie wiem, ale tak samo jak po użyciu przeznaczonego dla dzieci żuka, miałem po tych spotkaniach koszmary senne.

Upadałem w nich bez końca szybem o ścianach wyłożonych tysiącami rozkładających się ciał. Plastikowych. Ludzkich.

## ANALK

(Dörr)

Florian Heller

Miałem sucho w gardle, zimny pot wystąpił mi na czoło, a mały człowieczek wewnątrz czaszki próbował rozwalić mi młotem głowę od środka – czułem się źle.

Nie odpływaj teraz, przywołałem się do porządku. Musisz się skoncentrować. Musisz!

Z siłą, która we mnie samym wzbudziła respekt, wyrwałem się z ponurego bagna moich myśli, przepychając się w górę i kierując w stronę zbawionego brzegu. Znowu byłem sobą, z powrotem w beznamiętnym biurze. Siedziałem naprzeciw biurka. Człowiek znajdujący się po drugiej stronie nie był mały, nie posiadał też żadnego młota. Ubrany był w konwencjonalny garnitur, który nadawał mu pewne znaczenie. Wrażenie, które nie mogło mylić.

Spojrzał mi głęboko w oczy.

– Jak pan się nazywa?

Zawahałem się, ale on bezlitośnie ponaglał:

– Proszę odpowiedzieć na pytanie!

W powietrzu czuć było gigantyczne napięcie. Moje mięśnie naprężyły się mimowolnie, ból głowy osiągnął granice wytrzymałości. Bagno nie dawało za wygraną. Ostatnią siłą woli stanąłem na wysokości zadania.

– Clauss-Hausen – odparłem w pełni skoncentrowany.

Człowiek za biurkiem przylgnął plecami o oparcie fotelu. Z namaszczeniem wygładził poły garnituru, po czym skinął głową.

– Moje gratulacje, proszę pana. Udało się panu.

Odetchnąłem. To była prawidłowa odpowiedź. Całe napięcie znikło, jak gdyby w ogóle przedtem go nie było.

– Dziękuję – odparłem z uczuciem ulgi. Teraz mogłem zapisywać karty historii. Nie mogłem się powstrzymać. Uniosłem rękę w zwycięskim geście zaciskając pięść. – Tak jest!

Mężczyzna po drugiej stronie biurka potrzęsnał pejoratywnie głową.

– Tak, tak, już dobrze. A teraz spierd... – Przerwał, dając mi gestem do zrozumienia, że mam opuścić biuro.

Z triumfem na twarzy podniosłem się z miejsca i skierowałem do wyjścia.

– Jeszcze jedno, panie Huber – zawołał za mną.

Odwrociłem się.

– Słucham? – Jeszcze gdy wypowiadałem te słowa, zamieniłem się w kamień.

Człowiek za biurkiem pokręcił z rezygnacją głową.

– Nazywa się pan Clauss-Hausen. Nazwisko Huber spływa po panu jak woda po kaczce.

– Wiem – przyznałem ze skrucą. – Przepraszam.

Jego wyraz twarzy zdradzał wszystko, znowu nie zdałem. Wskazał na krzesło, z którego przed chwilą z euforią powstałem.

– Niech pan siada, panie Hub... Clauss-Hausen.

Przygnębiony wróciłem na miejsce i usiadłem. Czyżby mój udział w wyprawie na Księżyc miał spalić na panewce z powodu mojego kryptonimu?

Twarz przede mną przybrała ponownie surowy wyraz. Mężczyzna spojrzał mi prosto w oczy.

– Panie Clauss-Hausen, jak brzmi pana nazwisko?

\*\*\*

Obrzuciłem badawczym wzrokiem mojego nowego kolegę. Nie wyglądał na kosmonautę, ale to samo można by i o mnie powiedzieć.

– Clauss-Hausen – przedstawiłem się z nieufnością w głosie.

– Gottfried von Stenger – odparł z namiastką akcentu wiedeńskiego. – Miło mi.

– Na pokładzie nie prowadzimy rozmów w dialektach – powiedział ostrzej aniżeli zamierzałem. – Poza tym, pana kryptonim jest zbyt skomplikowany. Proszę sobie wymyślić jakiś nowy.

Mistrz Handke, kierownik wyprawy Austriacko-Niemieckiej Agencji Lotów Kosmicznych, w skrócie ANALK, odchrząknął powściągliwie. Pochylił się nad moim uchem.

– Gottfried von Stenger jest komendantem – szepnął. – Zapomniałem powiedzieć. Przepraszam.

Popatrzyłem na niego zaskoczony.

– Myślałem, że to ja jestem komendantem?

– Nastąpiła zmiana – odpowiedział lapidarnie. – A kryptonim von Stengera zostanie taki, jaki jest. Myślę, że się rozumiemy.

Trudno. To nie były dobre wieści. Ale przynajmniej przyzwyczaiłem się do swojego własnego kryptonimu. Moje poprzedniego kolegę, Schalk-Widdenstedta, cechowała na przykład rezystencja w związku z przyswajaniem sobie nowych nazw. Dlatego, jak sądziłem, zmuszono ostatecznie ANALK do jego likwidacji. Jednak od czasu do czasu miałem wątpliwości co do tego, czy nasze kryptonimy spełniają aż tak ważną funkcję, jak się to wydawało Mistrzowi Handke. Ale jemu lepiej się nie sprzeciwiać.

– Ile mamy czasu na trening? – zapytałem nieśmiało.

– W ogóle nie mamy – odpowiedział Gottfried von Stenger zamiast Mistrza. – Amerykańcy startują już jutro. Musimy być szybsi.

– Jutro? – zawołałem zszokowany. – Ale informacje z wywiadu...

– Były sfałszowane – przerwał mi grubiańsko Mistrz Handke. – Wygląda na to, że amerykańskie artykuły prasowe opisuja prawdę.



# ROZWIĄZANIA KONKURŚÓW Z NUMERU 07/2012 „NF”

Wydawnictwo Jaguar  
Seria „Gone”

Seria „Gone” ma liczyć  
sześć tomów.

Sławomir Nieścior – Lublin  
Łukasz Wójcik – Kaniów  
Daria Zielińska – Warszawa

Wydawnictwo Galeria  
Książki „Przebudzony mag.  
Królotwórca, królobójca”

Autorka książki pochodzi  
z Vancouver w Kanadzie.

Mateusz Majewski – Wodzisław  
Robert Siekierda – Katowice  
Agnieszka Wnęk – Bochnia  
Dominik Lalak – Warszawa  
Kamila Narecka – Oświęcim  
Tomasz Zymni – Kcynia  
Magdalena Dorębska – Sosnowiec  
Aleksandra Golka – Zabrze  
Konrad Fajer – Michałowice  
Katarzyna Pietraszko – Bolesławiec

Wydawnictwo Insignis  
„Do światła”

Największe pod względem  
ilości linii i stacji  
jest metro w Nowym Jorku.

Sylwester Szarek – Jasienica Rosielna  
Łukasz Filut – Poznań  
Marcin Kotulski – Starachowice  
Aneta Dobkowska – Elk  
Wanda Ostapczuk – Gdańsk  
Jan Widlarz – Brzeszcze  
Wojtek Preficz – Bytom  
Adam Niewiadomski – Jastrzębie-Zdrój  
Kamil Sielicki – Nowa Słupia  
Natasza Cholewa – Krzeszowice

## KONKURSY

PROSIMY O PODAWANIE ADRESU I NUMERU TELEFONU

### „XANTH 3. ZAMEK ROOGNA”

Wydawnictwo  
NASZA KSIĘGARNIA  
www.nasza księgarnia.pl



W którym roku premierowo  
w Polsce ukazał się  
pierwszy tom serii „Xanth”?

Kiedy Dor, syn Binka, był małym chłopcem, często podziwiał magiczny gobelin wiszący na ścianie zamku Roogna. Godzinami obserwował przedstawionych na nim ludzi. Teraz zdecydowanie woli inne widoki, takie jak urodziwa Millie, której jego ojciec przywrócił wdzięczną, materialną postać. A jednak za sprawą magii chłopak trafi do świata z gobelinu jako dorosły Przyziemianin. Czekają go przygody równie zawikłane jak nici tworzące magiczną tkaninę!

Wśród czytelników, którzy do końca września nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Nasza Księgarnia.

### „DZIEWIĄTY MAG 2. ZDRADA”

Wydawnictwo  
NASZA KSIĘGARNIA  
www.nasza księgarnia.pl



Kim z zawodu jest autorka książki  
„Dziewiąty mag”?

Nad świat dziewięciu miast nadciągają czarne chmury. Wybitni czarnoksiężnicy w pośpiechu pracują nad sposobami walki z groźnymi nyryonami. Nadszedł czas rozpoczęcia szkolenia magów medyków i budowy szpitala dla smoków i pegazów na Trollowych Rubieżach. Ale na Wielkiego Xaviere’a! Kobieta Dziewiątym Magiem?! To niedorzeczność i obraza społeczności wszystkich miast. Poza Severianem i Teobaldem nikt nie chce się zgodzić, aby Ariel podeszła do próby na Dziewiątego Maga. Czy otrzyma tę wielką szansę?...

Wśród czytelników, którzy do końca września nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Nasza Księgarnia.

### „RAKietowe SZLAKI. T. VI”

SOLARIS



Podaj przykłady polskich  
autorów, których teksty  
znajdują się w poprzednich tomach  
antologii „Rakietowe szlaki”.

Przedostatni tom siedmiotomowej serii antologii, na które składa się setka najlepszych, kanonicznych opowiadań science fiction.

Wśród czytelników, którzy do końca września nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Solaris.

### „CIEŃ ANIOŁA”



Jaka znana aktorka grała w serialu  
o tym samym tytule, co książka  
Iwony Czarkowskiej?

Karol Sobota na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym szczególnym - ma podobne problemy i zainteresowania jak tysiące współczesnych nastolatków. Wszystko zmienia się jednak pewnego dnia, gdy Karol na jednej z warszawskich ulic wpada na... anioła. A potem zdaje sobie sprawę, że aniołów jest dużo, dużo więcej. Kim są i czego chcą od chłopaka? Kto jest kim? Kto kogo udaje? Kto jest dobry, a kto zły? Widziałeś ich? Czy to możliwe, że były przy nim każdego dnia? Że żyją wśród nas? I że... że nie zawsze mają dobre intencje?

Wśród czytelników, którzy do końca września nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 10 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Wilga.

## JUBILEUSZOWY KONKURS NA OPOWIADANIE

Zbliżające się 30-te urodziny „Nowej Fantastyki” Redakcja postanowiła świętować w najlepszy znany sobie sposób: organizując konkurs na opowiadanie.

### CO NALEŻY ZROBIĆ?

Napisać opowiadanie, nie dłuższe niż 60 000 znaków (ze spacjami; około 33 stron maszynopisu znormalizowanego). Następnie wydrukować je w dwóch egzemplarzach (czcionka Times New Roman 12, odstęp między wierszami – 1,5) i przysłać na adres redakcji:

Nowa Fantastyka  
„Konkurs na opowiadanie”  
Ul. Rzymowskiego 28  
02-697 Warszawa

Osoby wyróżnione będą proszone o dostanie tekstów w wersji elektronicznej.

Na stronie tytułowej prosimy zawrzeć swoje dane kontaktowe:

imię i nazwisko, adres, e-mail i numer telefonu

Macie czas **do 31 grudnia 2012** roku, każdy z Was może zgłosić jeden tekst.

Rozstrzygnięcie planowane jest **na luty 2013 roku.**

Najlepsze opowiadania nagrodzimy publikacją na łamach „Nowej Fantastyki” i „Fantastyki Wydania Specjalnego”, ich autorzy otrzymają za swoje teksty honoraria.

# PROMOCJA PRENUMERATY

Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa  
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006



## PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

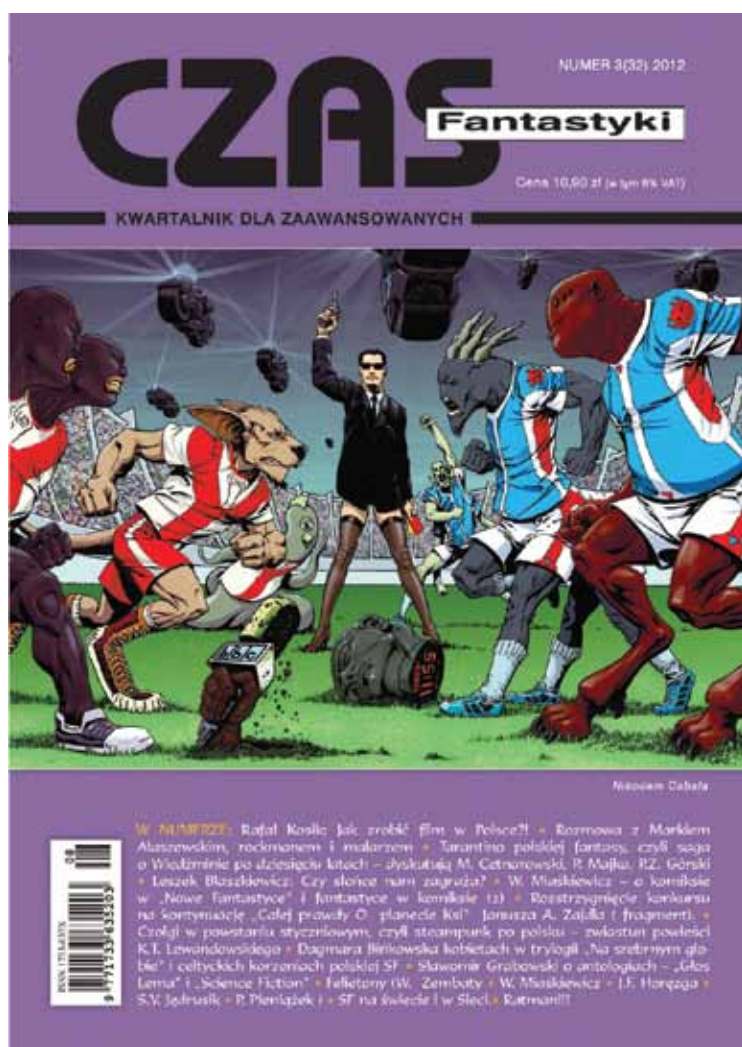
- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–17.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,  
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: [prenumerata@proszynskimedia.pl](mailto:prenumerata@proszynskimedia.pl)

## ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.

| PRENUMERATA | „NF”  | „FWS” | „NF”+„FWS” | „CZAS FANTASTYKI” |
|-------------|-------|-------|------------|-------------------|
| ROCZNA      | 84,00 | 32,00 | 108,00     | 40,00             |

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz. U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).



## Wyższy poziom publicystyki:

- więcej artykułów
- dłuższe teksty
- głębsze analizy
- śmiałe tezy
- żywe dyskusje
- najlepsi autorzy

## Zaawansowana strona fantastyki

**Fantastyka**

### ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28  
02-697 Warszawa

Telefon 22 27 81 792  
Faks 22 27 81 775

### E-MAIL:

[nowafantastyka@fantastyka.pl](mailto:nowafantastyka@fantastyka.pl)

[WWW.FANTASTYKA.PL](http://WWW.FANTASTYKA.PL)

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.  
ul. Rzymowskiego 28,  
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:  
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:  
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717  
[arturkaczorek@proszynskimedia.pl](mailto:arturkaczorek@proszynskimedia.pl)

Druk i oprawa:  
ORTIS SA, ul. Wojska Polskiego 1  
85-171 Bydgoszcz

### Kolportaż:

Firma 2M, tel. 22 607 79 10  
[magdalenaaszwed@firma2m.pl](mailto:magdalenaaszwed@firma2m.pl)

### REDAKCJA:

Jakub Winiarski  
redaktor naczelny  
[jakubwiniarski@fantastyka.pl](mailto:jakubwiniarski@fantastyka.pl)

Maciej Parowski  
zastępca redaktora naczelnego  
Dział Literatury Polskiej  
[maciejparowski@fantastyka.pl](mailto:maciejparowski@fantastyka.pl)

### Marcin Zwierchowski

Dział Literatury Obcej  
[marcinzwierchowski@fantastyka.pl](mailto:marcinzwierchowski@fantastyka.pl)

### Jerzy Rzymowski

Dział Publicystyki  
[jerzyrzymowski@fantastyka.pl](mailto:jerzyrzymowski@fantastyka.pl)

### Irina Pozniak

Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734  
[irinapozniak@proszynskimedia.pl](mailto:irinapozniak@proszynskimedia.pl)

INDEKS 358398 PL ISSN 0867-132X

### STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Wojciech Chmielarz, Jakub Ćwiek,  
Paweł Deptuch, Arkadiusz Grzegorzak,  
Agnieszka Haska, Rafał Kosik,  
Joanna Kulakowska, Kamil Lesiewicz,  
Waldemar Miałkowski, Rafał Śliwiak,  
Łukasz Orbitowski, Bartłomiej Paszylik,  
Przemysław Pieniżek, Piotr Piękosz,  
Jerzy Stachowicz, Michael J. Sullivan,  
Peter Watts.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo do dokonywania zmian i skróto-  
w. Za treść reklam nie odpowiadamy.

Ta wiadomość ulegnie autodestrukcy za 3, 2, 1...



# NAJLEPSZE HISZPAŃSKOJĘZYCZNE FANTASY NARESZCIE W POLSCE!



Mieszkańcy Żywnych Ziem od dawna czekali na przybycie zapowiedzianych przez gwiazdy okrętów. Magowie nie potrafili jednak odczytać, czy przybysze to bracia, którzy setki lat temu odpłynęli na stary kontynent i teraz powracają, czy też wrogowie pragnący zawładnąć nową ziemią? Nie mieli pojęcia o potwornej grozie, jaką zgotują im najeźdźcy.



**ZAPOWIEDŹ**

HISTORIA, KTÓRA ZACHWYCIŁA  
URSULĘ K. LE GUIN

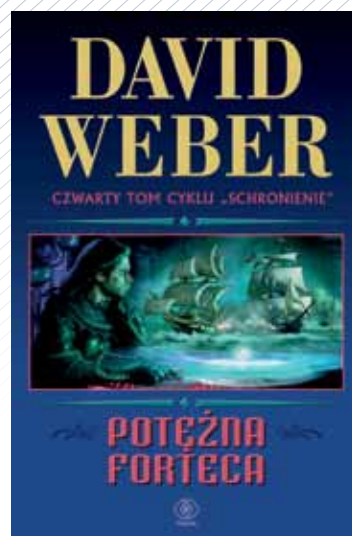


**David Weber** – pisarz specjalizujący się w fantastyce militarnej. Autor ponad 60 książek. Najbardziej znany jako twórca monumentalnego cyklu „Honor Harrington”. Inicjały bohaterki stanowią hołd dla „Horatio Hornblowera” C.S. Forestera.



# TRZEBA MÓWIĆ WŁASNYM GŁOSEM

Z Davidem Weberem rozmawia Joanna Kułakowska



**Joanna Kułakowska:** Napisałeś ponad 60 książek, to imponująca liczba! W dodatku tworzysz zarówno SF, jak i fantasy. Jak narodziła się twoja fascynacja fantastyką?

**David Weber:** Odkryłem SF jako dzieciak, dzięki powieści Jacka Williamsona „The Legion of Space”. Byłem chory i przeczytałem już wszystkie książki o koniach, zacząłem więc szukać czegoś ciekawego w księgarni prowadzonej przez ojca. Pokochałem fantastykę, zainteresowałem się też powieściami historyczno-militarnymi. Pierwszą książką, którą złożyłem w wydawnictwie była jednak nie SF, a fantasy.

**J.K.:** To ciekawe, biorąc pod uwagę fakt, że jesteś znany głównie jako twórca militarnych space oper.

**D.W.:** Miałem akurat taki pomysł. Niestety, jak to zwykle bywa z pierwszymi powieściami, była wielokrotnie odrzucona, ale mogę zdradzić, że w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat ujrzę w końcu światło dzienne. Oczywiście, w poprawionej formie (śmiech). Akcja rozgrywa się w tym samym uniwersum, co cykl „Bóg Wojny”.

**J.K.:** Z czytelnika stałeś się pisarzem. Co tak cię urzekło w fantastyce, że postanowiłeś uprawiać właśnie ten gatunek, zamiast pisać powieści historyczno-militarne, o których wspominałeś?

**D.W.:** W fantastyce można budować inną, nową historię, inne, odmienne od obecnie istniejących społeczeństwa i badać ich mechanizmy. Można to zrobić w sposób nie-

dostępny innym rodzajom fikcji. Na początku pisałem tylko dla przyjemności, tworzyłem też wiersze. Później, mając 17 lat, zacząłem zajmować się słowem pisanym zawodowo, ale głównie redagowałem teksty w różnych czasopismach. Pisałem też dokumenty rządowe. Z zawodu chciałem być historykiem i można powiedzieć, że do fantastyki przyciągnęło mnie to samo, co zainteresowało mnie w historii – to, jak świat funkcjonuje, co go napędza. Teraz wolę SF od fantasy, dlatego że jest większa wolność kreacji. Jednak choć zamiast bogów, krasnoludów i elfów, do budowy świata używamy technologicznych zabawek, jak roboty i sztuczne inteligencje, nadal są to tak naprawdę baśnie. Baśnie, które mogą nas wiele nauczyć, opowiadając o różnych sytuacjach życiowych, tyle że w nowym otoczeniu.

**J.K.:** A więc chciałeś czytać, a później pisać ciekawe, kształtujące baśnie?

**D.W.:** Nigdy nie uważałem się za Pisarza z dużej litery, tylko za opowiadacza, a opowiadanie baśni jest wspaniałym zajęciem. Forma wydrukowanej książki nie zmienia tego, że w gruncie rzeczy to opowieść snuta komuś, kto chce słuchać. Robię to, co podpowiada instynkt opowiadacza [David Weber ma uszkodzoną rękę, w wyniku czego duże partie tekstu nagrywa na dyktafon i daje do przepisania, a więc *de facto* opowiada nie tylko w przeności – dopisek J.K.]. Zawsze mówię, że jeżeli ktoś chce zacząć pisać, to powinien tworzyć takie opowieści, które chciałby czytać, ponieważ wtedy pisanie będzie przyjemnością. Powinno



się pisać to, co się czuje, a nie to, co wydaje się łakomym kąskiem dla wydawcy. Sądzę też, że jeśli ktoś naprawdę lubi tworzyć określony rodzaj historii, nikt i nic go nie zmusi do pisania czegoś innego. Inaczej byłby bardzo dziwną osobą (śmiech). Trzeba mówić własnym głosem. Tu muszę dodać, że amerykańscy czytelnicy nie zdają sobie sprawy, do jakiego stopnia fantastyka może kształtować rzeczywistość, nawet tę polityczną. Wydaje mi się, że fantastyka w Polsce robi to, co powinna, czyli przekazuje pewne idee i nowe pomysły. W waszym kraju była cenzura i restrykcje, fantastyka więc po prostu musiała sięgać głębiej. Z pytań, które przez Internet otrzymuję od fanów z tej części Europy, wnoszę, że bardziej zagłębiacie się w lekturę. Amerykanów interesują głównie eksplozje statków kosmicznych, a was pomysły i idee zawarte w książkach.

**J.K.:** Bardzo miło to słyszeć. Wspominałeś o fantastyce w Polsce. Czy przeczytałeś jakieś książki polskich autorów?

**D.W.:** Niestety nie. Bardzo żałuję, że fantastyka anglojęzyczna eksportowana jest na cały świat, a fantastyka obcojęzyczna nie dociera na anglojęzyczny rynek. Podobnie z kinematografią. Głównym powodem braku polskiej fantastyki na anglojęzycznym rynku jest niewielki krąg odbiorców języka polskiego w USA. Amerykanie, których interesuje obcojęzyczna fantastyka, czytają w oryginale i kupują w dowolnym kraju Europy przez Internet. Rynek wewnętrzny jest tak wielki, że wydawcy nie chcą już wpuszczać obcej literatury, co oczywiście nie jest dobre. Chodzi o sukces komercyjny. Coś, co jest puszczane na rynek, niekoniecznie okazuje się najlepsze według obiektywnych kryteriów. To jest po prostu coś, co zdaniem wydawców najlepiej się sprzedaje.

**J.K.:** Wynika z tego, że Amerykanie chcą czytać głównie książki w amerykańskim stylu. A co do stylu i „własnego głosu”, o którym wspominałeś wcześniej: specjalizujesz się w fantastyce militarnej. Czy wynika to z faktu bycia historykiem, czy raczej pasjonatem militariów?

**D.W.:** Z wykształcenia jestem historykiem, który specjalizuje się w wojskowości i dyplomacji. Zawsze interesowało mnie polityczne tło wojen. Jak doszło do takiej sytuacji, że musiały wybuchnąć wojna? Co do niej doprowadziło? Oczywiście, gdy byłem młodszy, jak teraz mój dziesięcioletni syn Michael, wojskowość interesowała mnie głównie z punktu widzenia zabawek – najnowsza broń, najnowsze czołgi, wszystko, co przemawia do młodych chłopców (śmiech). Teraz interesuje mnie polityczne podłoże, taktyka i strategia. Fakt faktem, z racji wykształcenia skupienie się na fantastyce militarnej przyszło mi w sposób naturalny.

**J.K.:** Pisząc o wojnach przyszłości, trzeba dużo czytać o wojnach z przeszłości?

**D.W.:** Tak. Zmieniają się narzędzia, którymi wykonujemy czynności, ale same czynności się nie zmieniają. Nadal, jak tysiące lat wcześniej, uprawiamy żywność i ją transportujemy. Tak samo jest z wojskowością. Dobrze jest znać i przeszłość, i teraźniejszość, ponieważ zmieniają się tylko dekoracje.

**J.K. A propos dekoracji...** W twoich książkach pojawia się bardzo zaawansowana technologia. Sztuczne inteligencje, statki o napędzie warpowym... Czy starasz się być na bieżąco z odkryciami w sferze fizyki i techniki i tym się inspirujesz, konstruując konkretne wizje?

**D.W.:** Staram się, ale mam wykształcenie historyczne, a nie fizyczne. Dlatego w kwestii nauk ścisłych jestem najwyżej dobrze poinformowanym laikiem. Natomiast jakiś czas temu

rozmawiałem z kolegą, który ma wiele doktoratów, właśnie na temat, czy lepiej być wizjonerem, czy naukowcem piszącym fantastykę? I doszliśmy do wniosku, że jeśli się pisze fantastykę bliskiego zasięgu, to lepiej być naukowcem i znać najnowsze odkrycia, natomiast gdy pisze się historię osadzoną w odległej przyszłości, to wbrew pozorom wiedza naukowa może przeszkadzać. Wystarczy spojrzeć, jak dramatycznie nauka zmieniła się w ciągu ostatnich dwustu lat. Aż strach pomyśleć, co będzie za czterysta! Nie mamy pojęcia, jak to może wyglądać, dlatego znajomość stanu obecnej wiedzy może ograniczyć wyobraźnię autora.

**J.K.:** W wywiadach często udzielasz ogólnych rad początkującym pisarzom, a ja chciałabym zapytać, co radziłbyś osobie, która chce pisać konkretnie fantastykę militarną? Co tu jest ważne? Oprócz czytania o przebiegu wojen z przeszłości.

**D.W.:** Po pierwsze, żeby pisać fantastykę militarną, trzeba znać wojsko, historię wojskowości i sposób zorganizowania armii, a co najważniejsze, trzeba pozbyć się stereotypów. Obecnie pokutuje stereotyp, że jeśli ktoś jest w wojsku w czasie pokoju, to znaczy, że nie znalazł żadnej innej roboty, a jeżeli nie jest w wojsku w czasie wojny, to znaczy, że jest tchórzem. A to nie zawsze takie proste. Trzeba skoncentrować się na instytucji wojskowości jako takiej, na tym, co jest duszą wojska, a nie na wojskowych zabawkach – nowoczesnej broni, mundurach czy innych szczegółach. Trzeba zdobyć wiedzę o tym, czym wojskowi różnią się od cywilów – jak podchodzą do różnych spraw. Ogólnie w literaturze zawsze najważniejsze są postacie. Nie cała otoczką, tylko postacie. W tym przypadku są to postacie uwikłane w masową rzeź – wojna nie może być tylko pretekstem, wymówką do pójścia na łatwiznę w rozwiązywaniu ich różnorodnych problemów. Wracając do kreowanych struktur wojskowych. Warto wiedzieć, że nawet ludzie, którzy nie znają się zbyt na wojsku, będą w stanie wyczuć, że coś nie gra, gdy za bardzo puścimy wodze fantazji, kreując organizację i zależności pomiędzy różnymi ludźmi w armii. Wśród moich wiernych czytelników jest wielu wojskowych, wydaje mi się więc, że nie piszę jakichś bzdur (śmiech).

**J.K.:** A propos bzdur. Dla wielu mężczyzn jest nią równouprawnienie płci w siłach zbrojnych. Wiem, że wszyscy pytają cię o kobiety w armii, i wiem, że podobnie jak Joe Haldeman uważasz, że w przyszłości będzie całkowite równouprawnienie płci. Swoją drogą, w australijskiej armii nastąpi ono już w ciągu najbliższych pięciu lat. Ale intryguje mnie, dlaczego ewidentnie preferujesz opisywanie kobiety w roli dowódcy? Żeńskie postacie w twoich książkach są bardziej wyraziste, bardziej szczegółowo skonstruowane, a przez to wiarygodne.

**D.W.:** Zawsze lubiłem kobiety (śmiech). Lubię mocne osobowości i nigdy nie miałem problemu z silnymi kobietami. Taka była moja matka, taka jest moja żona. Żyjemy w czasach, w których następuje ewolucja ról płciowych. Umożliwia to zwłaszcza technologia. Dzięki rozwojowi techniki doszliśmy do takiego momentu w dziejach, że nie musimy już pracować całe życie, by zapewnić sobie przetrwanie. Kiedyś rolnik był w stanie wyżywić tylko siebie i swoją rodzinę, teraz w Ameryce jeden rolnik potrafi wyżywić około siedemdziesięciu osób. Dlatego, o ile kiedyś mogliśmy uzasadnić niewolnictwo koniecznością pracy i brakiem siły roboczej, o tyle po wynalezieniu odpowiednich narzędzi, które ułatwiły pracę, straciliśmy tę wymówkę. Teraz możemy zadawać sobie pytanie, czy takie traktowanie drugiego człowieka jest moralnie dopuszczalne. I podobnie zaczyna być z kwestią płci. Kiedyś wszystko było napędzane mięśniami, a teraz powoli zbliżamy się do tego, że wszystko będzie napędzane siłą intelektu. I o ilierzeczywiście kobiety

częściej mają mniejsze mięśnie niż mężczyźni, to osobiście nie zauważyłem jeszcze różnicy w wielkości mózgu. Prawda jest taka, że społeczeństwo, które nie zapewni pełnej równości swoim kobietom, rezygnuje z 50% swoich możliwości technologicznych czy naukowych.

**J.K.:** Bo podział ról zabija możliwości jednostki. Nawet jeśli statystycznie pewne talenty rzadziej występują u kobiet, a inne rzadziej u mężczyzn, zbrodnią jest mamować potencjał zdolnych ludzi, tylko dlatego że należą nie do tej grupy płciowej, o której mówi statystyka.

**D.W.:** Dokładnie! To nie jest rozsądne zarządzanie zasobami ludzkimi. Natomiast jeśli chodzi o rolę płci w SF, wydaje mi się, że pisząc o przyszłości za kilka tysięcy lat, muszę uwzględnić fakt, że wszystko się diametralnie zmienia. Uważam, że w odległej przyszłości kwestia roli kobiet, walka o ich równouprawnienie będzie dla ludzi sprawą tak odległą, jak teraz stosunek faraonów do Hetytów. To nas po prostu zupełnie nie dotyczy, tak? Nazywano mnie czasami pierwszym postfeministycznym pisarzem SF, ponieważ po prostu zakładałam to równouprawnienie. Dla moich bohaterów jest to fakt dokonany, ta walka to zamierzona historia. W moich książkach żadna postać nie podważa tego, że kobieta może być dowódcą.

**J.K.:** Na planecie Grayson w Honorverse walka o równouprawnienie nie była odległą przeszłością. Można powiedzieć, że Honor Harrington do niej doprowadziła i wygrała (śmiech).

**D.W.:** Planeta Grayson to przypadek bardzo szczególny (śmiech). W utworach innych pisarzy, a przynajmniej tak było dwadzieścia lat temu, jest czymś oczywistym, że dowódczyni musi mierzyć się z negatywnymi stereotypami i walczyć o to, by być postrzegana przez mężczyzn jako „prawdziwy” dowódca. A ja zakładałam równouprawnienie i liczę na to, że czytelnicy mają dość inteligencji, by zrozumieć, że jest to czymś naturalnym w tamtym społeczeństwie. Natomiast jeśli chodzi o opisywanie kobiet w roli dowódców, lubię iść pod prąd. Moim zdaniem, Hollywood i powieści wojskowe w zły sposób przedstawiają kobiety. W historii brak przykładów dowódców, którzy byli kobietami. Istnieje wiele przykładów mężczyzn-dowódców. Dlatego często zakładam się, że aby kobieta mogła być dowódcą, musi być hipermeška, zachowywać się jak facet na sterydach, jak karykatura mężczyzny. A przecież z historii wiemy, że każdy dowódca miał swój własny styl, nie było dwóch takich samych geniuszy militarnych. Byli i agresywni, i spokojni, a i jedni, i drudzy odnosili sukcesy.

**J.K.:** Stereotypowo żeńskie „miękkie zarządzanie” jako styl dowodzenia... Ciekawy pomysł. Ciekawi mnie również, czy znasz osobiście jakieś żołnierki? Może cechy charakteru i stylu dowodzenia Honor Harrington lub Ninursag z serii „Dahak” pochodzą od którejś z nich?

**D.W.:** Znam wiele kobiet, które służą albo służyły w wojsku. Jedną z osób, które pracują nad kompendium Honorverse, jest komodor Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych w stanie spoczynku, której mąż nadal jest na służbie, również w stopniu komodora. Ale świadomie żadnej z postaci nie oparłem na jednej rzeczywistej osobie, choć oczywiście wplątałam cechy poznanych ludzi. Zresztą tworząc postacie kobiece, nie zaczynam od stworzenia „kobiety”, tylko „osoby”. Najpierw myślę nad uczuciami, historią i charakterystyką tej osoby, a potem, co ewentualnie muszę zmienić, jeśli to kobieta. Piszę o ludziach, a nie o mężczyznach i kobietach. Tak się składa, że niektórzy z tych ludzi są kobietami. Często mówi się, że powinno się pisać o tym, co się zna, ale ja

mam taki problem, że nie znam żadnego kapitana statku kosmicznego (śmiech). Kobiety, które piszą o mężczyznach-dowódcach, mają tę przewagę, że znajdują wiele modeli w historii – Napoleon, Wellington, Nelson... Znamy wielu historycznych dowódców, ale kobiety-dowódcy to kwestia nowa.

**J.K.:** Nie taka nowa (śmiech). Boudika, Joanna D’Arc, Hua Mulan, Polka Emilia Plater... Ale ich portrety zostały zniekształcone i przez współczesnych, i przez potomnych. Może stąd się bierze to hollywoodzkie pokłosie? W powszechnym wyobrażeniu, żeby słuchano kobiety, musiała być albo fte-mężczyzną, albo szaloną tyranką, albo świętą czy chociaż fanatyczną patriotką. Nie mogła być po prostu charyzmatyczną, pewną siebie kobietą, która robi to, co uważa za słuszne...

**D.W.:** Te kobiety na pewno doczekały się mocno zniekształconych wizerunków, bo wynika to z oczekiwań społecznych. A ponieważ w nowoczesnej historii nie było zbyt wielu im podobnych, czy to pisarze, czy pisarki, pisząc o takich osobach, muszą wszystko wymyślać na bieżąco.

**J.K.:** Z innej beczki. Jesteś kaznodzieją w kościele metodystów. Siłą rzeczy, przekonania i religia mają wpływ na twoje książki. Interesuje mnie natomiast, czy inspirują cię raczej obecne wydarzenia społeczno-polityczne związane z religią, czy chętniej sięgasz do historii?

**D.W.:** Czerpię zarówno z wydarzeń obecnych, jak i historii, która ukazuje, że w imię religii dokonywano wielu wspólnych rzeczy, ale i wielu odrażających. Po 2001 r. więcej osób zdaje sobie sprawę z ostrości podziału na świat chrześcijański i muzułmański, ale tak naprawdę to nic nowego. Umieściłem podobny wątek już w „Księżycu buntowników”, wydanym w 1991 r. Przykładem, do czego może doprowadzić wypaczona wersja religii chrześcijańskiej, jest planeta Grayson, o której wspominałaś, albo fabuła cyklu „Schronienie”. Ten cykl jest dla mnie bardzo ważny, bo dotyczy ważkich spraw – wolności sumienia, wolności słowa i sposobów ich zachowania. Lubię pokazywać, że dobrzy ludzie są po obu stronach. W gruncie rzeczy jesteśmy podobni, ale istnieje tyle różnych ideologii, systemów filozoficznych, religii, które mnożą punkty widzenia, dzieląc włos na czworo. Ludzie z gruntu dobrzy i podobnie czujący znajdują się często w opozycji, bo patrzą na tę samą rzecz na różne sposoby. Ludzie z różnych społeczeństw zapominają o tym i jedną z funkcji fantastyki jest przypominanie im o tym.

**J.K.:** Czy wydawca albo może fani mieli kiedykolwiek wpływ na twoje utwory?

**D.W.:** Nie, nigdy nie byłem pod presją wydawcy. Wszystkie opisywane wydarzenia były planowane, wynikały z wcześniejszych. Jednak każda opowieść jest strukturą dynamiczną, zmienia się, rozwija i nie wiadomo, który element nabierze wagi. Znam moją żonę od dwudziestu lat, można by więc zadać pytanie, czy wciąż potrafi mnie zaskoczyć? To samo pytanie nasuwa się w związku z fikcją literacką, a przecież wydawałoby się, że znam swoich bohaterów od podszewki. Jednym z powodów, dla których piszę, jest chęć dowiedzenia się, jak zachowają się moje postacie postawione w różnych sytuacjach, w nowych warunkach. Na tej zasadzie nawet śmierć nie musi kończyć opowieści o danej postaci, bo zostają ci, którzy ją znali, dla których była ważna. Czytelnicy inwestują uczucia i dlatego nie chcą, żeby seria się kończyła, ale kiedyś jednak trzeba skończyć. Przy pewnych bohaterach, jak Honor, bardzo trudno jest myśleć o zakończeniu, bo sukces wydawniczy zmniejsza



sza możliwość wyboru (śmiech). Ale w żadnej sytuacji nie można po prostu „wcisnąć wyłącznika”, zakończeniem musi mieć sens, wszystkie istotne wątki muszą być zamknięte. Fanom również nie pozwalam wejść sobie na głowę (śmiech). Oczywiście nie wszystko wszystkim się podoba. Nigdy nie zapomnę, jak w latach 90. poszedłem do księgarni i dostałem własną książkę w potylicę! Odwróciłem się i zobaczyłem małą rudą osobkę, która wysyczała z wściekłością: *Zabiłeś Seana...* (śmiech). Czasem ktoś musi zginąć, bo takie są wojny, a czasem dlatego, by czytelnicy mogli ujrzeć, co się dzieje w sercu głównego bohatera lub bohaterki i lepiej ją poznać.

**J.K.:** Dobrze, że to była papierowa książka, a nie coś metalowego... Współpracowałeś z wieloma autorami – Johnem Ringo, Stevem Whitem, Lindą Evans... Zapewne z każdym pracowało się inaczej. Może jednak opowiesz więcej, jak to najczęściej wyglądało? Burza mózgów? Podział obowiązków?

**D.W.:** Rzeczywiście z każdym autorem wyglądało to zupełnie inaczej. Stosowałem już wszystkie możliwe kombinacje. Każdy autor ma własny styl pracy i preferencje. Przy współpracy najlepiej, jeśli siły się uzupełniają. Na przykład John Ringo jako były wojskowy wspomagał mnie swoją wiedzą przy rozmaitych technicznych szczegółach. Druga możliwość to sytuacja, gdy siła jednego współpracownika równoważy słabość drugiego. Ogólnie jeśli tworzymy coś, co rozgrywa się w moich światach, to zwykle ja kreuję podstawowe elementy. Realizujemy moje pomysły, dzieląc się zadaniami. To może być np. podział postaci, z punktu widzenia których pisana jest książka. Gdy wraz ze Stevem Whitem pisaliśmy pierwszą powieść z serii „StarFire”, byłem twórcą wszystkich części, gdzie narratorem jest Li-Han. To Chinka, która ma 150 cm wzrostu, więc pasowała do mnie (śmiech). Czasem koordynacja pracy dwóch autorów o różnym tempie pisania staje się niemożliwa, bo mają też własne zobowiązania. Dlatego wspólnie ze Stevem opracowaliśmy fabułę dwóch części, po czym oznajmiłem mu, żeby napisał je albo sam, albo z kim zechce, bo ufam, że wyjdzie, jak trzeba. Są jeszcze dwie opowieści z tego cyklu, które chcę napisać sam, jeśli znajdę na to czas: I i II „Wojna Wstydu”.

**J.K.:** Świat „StarFire” to nie tylko seria książek i taktyczna gra planszowa firmy Task Force Games, ale i świat twojego autorskiego systemu RPG. Czy wciąż masz czas na RPG, żeby grać, żeby prowadzić?

**D.W.:** Niestety nie. I to już od wielu lat. Bardzo żałuję, ale mam za dużo obowiązków. Grałem dawniej, na początku kariery, między książkami. Gdy skończyłem książkę, miałem zwykle miesiąc przerwy. Teraz czasami mam tydzień, ale ponieważ jestem ojcem trójki dzieci, poniżej 11. roku życia, poświęcam im każdą wolną chwilę. Bliźniaczki adoptowane z Kambodży skończą w październiku 11 lat, a syn 10 lat w tym samym miesiącu. Dzięki nim wiem, jak patrzy na świat dziecko, jak zachowuje się, gdy widzi coś po raz pierwszy. Daje to wiele radości i przydaje się w tworzeniu. Brakuje mi czasu nawet na to, żeby czytać, bo przecież muszę wracać do pracy. Uwielbiam pisać, ale to zawód, który pochłania czas...

**J.K.:** Pewien recenzent napisał kiedyś, że powieść „Powstanie” przypomina mu strategię komputerową w kosmosie. Czy grywałeś w strategię albo inne gry komputerowe?

**D.W.:** Raczej nie grywałem w gry komputerowe, głównie dlatego, że potrafią być strasznie złodziejami czasu. Natomiast trzeba pamiętać o tym, że razem ze Stevem pisaliśmy „Powstanie” w 1988 r. [pierwsza powieść Webersa,

która ukazała się drukiem (1990 r.) – dopisek J.K.] i wtedy nie było zbyt wiele komputerowych strategii.

**J.K.:** A w gry planszowe i figurkowe? Oczywiście, zanim rosnące dzieci zaprzętnęły całą twoją uwagę (śmiech).

**D.W.:** Nie tylko projektowałem gry wojenne ze świata „StarFire”, ale i z przyjemnością w te planszówki grałem. Jestem wielkim fanem gier bitewnych, ale raczej strategii historycznych, jeszcze sprzed boomu „Warhammera”. Mam pełne armie z Wojen Napoleońskich (westchnienie).

**J.K.:** Projektowanie gier taktycznych może tłumaczyć wrażenie wspomnianego recenzenta. A znów z innej beczki – biorąc pod uwagę treecały z Honorverse, zgaduję, że jesteś raczej kociarzem niż psiarzem? Niektórzy pisarze twierdzą, że „każdy pisarz powinien mieć kota”. Potrafią bardzo pomóc w pracy, na przykład włączając na klawiaturę (śmiech).

**D.W.:** Lubię zarówno psy, jak i koty. Kiedy pisałem „Placówkę Basilisk” miałem dwa ogromne koty i Nimitz – treecał, który adoptował Honor – stanowi połączenie ich cech. Tak stworzyłem swój „znak firmowy” (śmiech). Tak to bywa – pomysł pojawia się o tak, a potem staje się coraz ważniejszym elementem. Teraz nie mam żadnego kota, chociaż moja żona Sharon ma dwa. Ja osobiście mam golden retrievera. Są też dwa wilczury, labrador i dwa duże kundły. Choć nie uważam, że chodzenie po klawiaturze jest pisarzowi jakoś niezwykle pomocne (śmiech), to posiadanie zwierzątka jest czymś wspaniałym, ponieważ wiąże z istotą, która zawsze będzie przy tobie, dodaje człowiekowi otuchy. To pomaga.

**J.K.:** Książki wielu autorów fantastyki są teraz ekranizowane. Można powiedzieć, że trwa moda na fantastykę. Czy możemy się spodziewać, że któraś historia z Honorverse albo innego twojego cyklu stanie się serialem lub filmem kinowym? A może jakieś inne medium wchodzi w grę?

**D.W.:** Studio w Hollywood ma zgodę na realizację książek o Honor. Zatrudnieni tam scenarzyści są w trakcie tworzenia scenariusza pierwszego pełnometrażowego filmu. W planach mają cztery do dziesięciu filmów. Fakt, że jest to tak zaawansowany projekt, nie znaczy niestety, że cokolwiek z tego wyniknie. Tak działa Hollywood. Natomiast padły już pytania o propozycje innych moich serii, ale to na razie faza wstępna.

**J.K.:** Na koniec chciałabym zadać pytanie o prawdziwy początek twojego pisania. W wywiadzie dla portalu Katedra powiedziałeś, że pierwszą powieść napisałeś już w ósmej klasie, wspólnie z przyjacielem Terryem Maurerem. Ciekawi mnie, o czym była ta historia? Czy przyszło ci kiedyś na myśl, by napisać ją od nowa, tym razem z całym twoim doświadczeniem?

**D.W.:** Ogólnie rzecz biorąc, ta książka opowiadała, jak Terry i David ratują świat. Uwielbiam tę historię! (śmiech). Była bardzo długa. Nie da się ukryć, że była to świetna zabawa i znakomite doświadczenie, tym bardziej, że nauka pisania trochę przypomina naukę chodzenia. Jest to długi i bolesny proces, w którym się przewracasz i rozbijasz sobie kolana. Pisziesz opowieści i potem musisz je wyrzucać, bo się do niczego nie nadają. Nigdy nie myślałem, żeby napisać od nowa tę historię, ale gdyby ktoś ją przeczytał, znalazłby pewne elementy, które występują w moich książkach. Być może dlatego, że to była moja pierwsza opowieść i emanuje na wszystkie pozostałe.

**J.K.:** Bardzo dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych sześćdziesięciu książek. ■

# WYWIAD Z JONATHANEM CARROLLEM DLA „NF”

JAKUB WINIARSKI



**Jakub Winiarski:** Czytujesz fantastykę, SF i fantasy?

**Jonathan Carroll:** Bardzo rzadko. Literatura gatunkowa mnie nie interesuje.

**J.W.:** Twoje książki, a chyba zwłaszcza ostatnia, mogą spodobać się głównie czytelnikom. Czy wiesz o kobietach coś, co pozwala twoim tekstom tak doskonale trafiać w ich gusta?

**J.C.:** Moje książki i historie są pełne silnych, niezależnych kobiet, które są zdolne przetrwać każdą sytuację, w jakiej się znajdują. Często mówię, że bardziej lubię moje kobiece postacie od męskich, gdyż są bardziej „kompletne”. Pewnie dlatego kobiety lubią moją twórczość.

**J.W.:** W tomie „Kobieta, która wyszła za chmurę” opowiadania wyglądają czasem niby dopracowane, ale jednak szkice do czegoś większego, zarysy, wierzchołki gór lodowych, których nie odśloniłeś. Zakończenia rwą się i mnóstwo zostaje niedopowiedziane. Nie żal ci było takich dobrych pomysłów, z których mogłoby kilka powieści powstać?

**J.C.:** Tytułowe opowiadanie z tego zbioru stanie się prawdopodobnie pierwszym rozdziałem powieści, którą napiszę po ukończeniu książki, nad którą teraz pracuję. O rozwijaniu pozostałych historii nie myślałem.

**J.W.:** Mężczyzna i kobieta, kobieta i jej problemy w relacjach, związki i emocjonalne niepokoje – wydaje się, że używasz fantastyki nie tylko po to, by odkrywać nowe, inne światy, ale też, by opowiadać o bardzo codziennych sytuacjach.

Do czego jest ci zatem potrzebna fantastyka?

**J.C.:** Nie piszę science fiction, horroru, fantasy czy jakiegokolwiek gatunku, do którego stale próbuje się szufladkować moje utwory. Czasami używam SF jako metafory, gdy uważam, że pomoże mi to bardziej efektywnie przekazać przesłanie opowiadania lub powieści. Ale obruszam się gdy ktoś mówi, że moja twórczość to fantastyka, czy cokolwiek innego niż po prostu fikcja literacka.

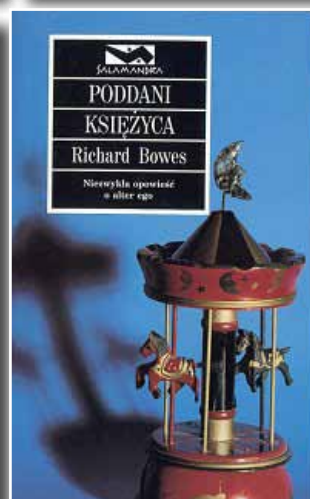
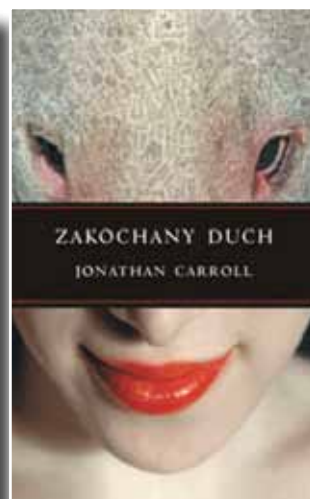
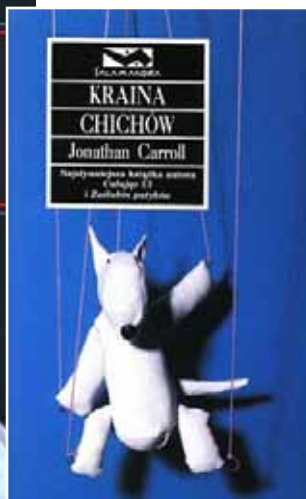
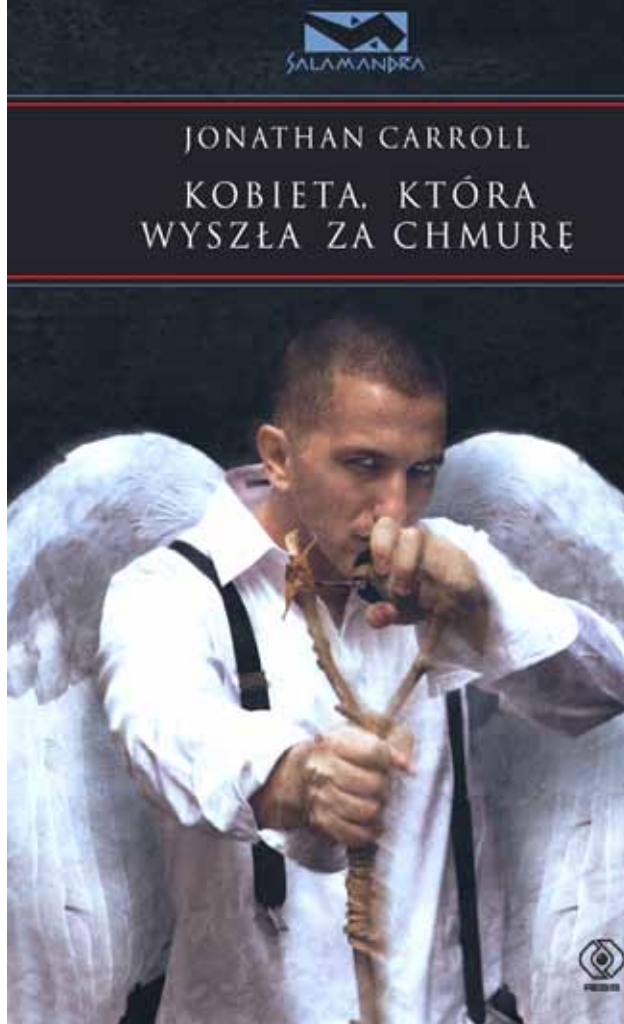
**J.W.:** Czy jest jakiś temat, do którego przymierzasz się od lat, lecz wciąż z jakiegoś powodu o nim nie napisałeś? Czy jakieś tematy są dla ciebie trudniejsze niż inne? Jak w ogóle wybierasz tematy do swoich książek i opowiadań?

**J.C.:** Piszę o wszystkim, co interesuje mnie w danej chwili. Zazwyczaj zaczynam od postaci, a później buduję sytuację „wokół” nich. Na przykład w „Kościach księżycy” stworzyłem kobietę, która sny zaczęły tworzyć jeden, nieprzerwany ciąg. Wtedy interesował mnie ten pomysł, bo ciekawiła mnie barwna a zarazem fragmentaryczna natura naszych snów. Reszta opowieści wyrosła z tego, co działało się w owym śnie.

**J.W.:** Przygotowując się do tej rozmowy, spytałem twoich czytelników, o co by chcieli spytać. Oto kilka z tych pytań. Pierwsze: czy biały bullterrier miał swój pierwowzór, a jeśli tak, to czy był on tak odjechany?

**J.C.:** Tak. Często piszę o bulterierach, bo to moja ulubiona rasa. Miałem ich aż piątkę. Pierwszy nazywał się Nails – jest to również imię gadającego psa z „Krainy Chichów”





[w polskim wydaniu: Kulfon – przyp. tłum.]. bulteriery są bardzo ekscentrycznymi, kochającymi i cudownymi psami. Polecam je gorąco każdemu, kto myśli o kupnie psa.

**J.W.:** „Szkłana zupa”, „Śpiąc w płomieniu”, „Kobieta, która wyszła za chmurę”. Skąd bierzesz te niesamowite tytuły książek?

**J.C.:** Lubię prowokujące tytuły. Lubię bawić się słowami, ustawianiem ich w niewłaściwej kolejności. Jest taka słynna amerykańska piosenka kowbojska „Home on the Range”. Pewnego dnia nuciłem ją sobie, ale zamiast właściwych słów home on the range przypadkiem zaśpiewałem home on the rain. Przerwałem to, czym się wtedy zajmowałem, poszedłem po notatnik i zapisałem to, gdyż wiedziałem, że będę kiedyś chciał wykorzystać te słowa jako tytuł opowiadania. Tak też się stało.

**J.W.:** Czy, nieco podobnie jak nieżyjący już William Wharton, nie czujesz się dziwnie, będąc bardziej popularny w Polsce niż gdzie indziej? Jak myślisz, co łączy twoje pisanie z Polską?

**J.C.:** Nikt nie umie powiedzieć, dlaczego pisarz jest popularny. Gdyby ktoś to wiedział, każdy wydawca miałby swoich autorów na listach bestsellerów. Moje książki są bardzo lubiane w jednych krajach, a nieznane w innych. dlaczego? Tego nie wie chyba nikt.

**J.W.:** Czy będziesz dalej szedł w mistykę, jak w „Zakochanym duchu”, czy raczej powrócisz do czystej fantastyki, od której zacząłeś?

**J.C.:** Fantastyka? Złe określenie. W „Zakochanym duchu”

widzę nie tyle eksplorację mistycyzmu, co analizę tego, jak człowiek może poprawić swoje codzienne życie jeśli dojdzie do ładu ze swymi wewnętrznymi „demonami”.

**J.W.:** Wiesz, jak wraz z twoim pisarstwem ewoluują gusta twoich sympatyków?

**J.C.:** Moje książki dzielą czytelników. Jedni je kochają, inni nienawidzą – niewielu jest pomiędzy tymi skrajnościami. Ci, którzy ich nienawidzą, mówią zazwyczaj coś w stylu Kochałem tę książkę dopóki psy nie zaczęły gadać; wtedy wyrzuciłem ją do kosza. Z kolei miłośnicy moich książek twierdzą, że tym, co czyni je wyjątkowymi jest mieszanka twardej rzeczywistości z niesamowitością.

**J.W.:** Co przeczytałeś takiego, że postanowiłeś zostać pisarzem?

**J.C.:** To był „Cyk o świcie” amerykańskiego pisarza Thomasa Wolfe’a. Miałem wtedy piętnaście lat.

**J.W.:** Czy uważasz pisarstwo za rodzaj powołania, czy za kolejną mieszczańską profesję? Jakie są zawodowe kryteria, które pozwalają nazwać kogoś pisarzem?

**J.C.:** Sądzę, że pisarze (i artyści) lubią myśleć o sobie jako o kimś w rodzaju elity, ale doświadczenie nauczyło mnie, że trzeba być produktywnym. A żeby być produktywnym trzeba siedzieć na tyłku i dzień po dniu pracować jak każdy człowiek żyjący z pracy swych rąk. Tak się składa, że naszą pracą jest przelewanie słów na papier. Nie mam cierpliwości do pisarzy, którzy uważają się za lepszych. Pracujemy jak wszyscy i, mam nadzieję, dostajemy za to pieniądze. ■

Zanim Heath Ledger podbił Hollywood, wcielił się w irlandzkiego księcia w serialu „Prawo miecza”.

## Irlandia z Australii

JERZY RZYMOWSKI

© Artur Kazorek



Lubiłem Heatha Ledgera zanim to było modne. Nie należę do tych, którzy dopiero po jego śmierci ocknęli się i ogłosili, że był znakomitym aktorem. Kibicowałem mu zanim szumu narobiło „Brokeback Mountain”, przed „Oblędnym rycerzem”, ba!, nawet przed „Zakochaną złością”. Zwróciłem na niego uwagę, gdy wcielił się w główną rolę w liczącym zaledwie 13 odcinków serialu „Roar”, nazwanym u nas „Prawo miecza”.

Twórcą serialu był Shaun Cassidy – ten sam, któremu zawdzięczamy opisywany miesiąc temu „Amerykański horror”. Serial powstał na fali popularności „Herkulesa” i „Xeny”, ale niewiele miał z nimi wspólnego – może zresztą właśnie dlatego przetrwał zaledwie jeden sezon, liczący trzynaście odcinków.

Akcja „Prawa miecza” rozgrywa się na początku V wieku naszej ery, w Irlandii. Funkcję Szmaragdowej Wyspy w serialu pełni Queensland w Australii, z której, o czym nie zawsze się pamięta, pochodził Ledger. Aktor wcielił się w głównego bohatera, młodego księcia imieniem Conor, który stracił bliskich w ataku sąsiedniego plemienia sprzymierzonego z rzymskimi najeźdźcami. Żoną wrogiego wodza jest Rzymianka, Diana, wraz z którą na wyspę przybył tajemniczy Longinus. Mentor

Conora, potężny druid Galen, posyła go z misją zjednoczenia irlandzkich plemion w obliczu zagrożenia ze strony Rzymian. Młodzieńcowi towarzyszą zaciekle wojownik Fergus, zbiegła rzymska niewolnica Catlin oraz Tully – czarnoskóry chłopak, którego Galen ocalił z rozbitego statku (można się domyślać, że jego obecność była łagodną próbą zadośćuczynienia politycznej poprawności w historycznych realiach, w których obecność czarnego bohatera trudno byłoby uzasadnić).

Wyjaśnijmy sobie jedno: „Prawo miecza” nie było produkcją wyjątkowo ambitną, ani szczególnie dbającą o historyczną wiarygodność – oglądając je warto brać poprawkę, że to opowieść fantasy. Na pewno jednak nie było głupie i poruszało ciekawe tematy. Choćby takie, jak dokonujące się w owych czasach spotkanie irlandzkiej tradycji i wiary

z chrześcijaństwem. W serialu nie zobaczycie jednak świętego Patryka, chociaż to jego epoka. Pojawia się za to inna postać, która odgrywa istotną rolę w chrześcijańskich apokryfach – to wspomniany wcześniej Longinus. Jeżeli to imię z czymś Wam się kojarzy, zapewne do-

Czy spodziewalibyście się w opowieści z Irlandii V stulecia, że mag będzie miał wizje XX-wiecznych pól bitew? Rozważań o niebezpieczeństwach, jakie niesie nauka? O ludzkiej skłonności do zniszczenia? Bohaterowie „Prawa miecza” mają w zanadrzu wiele niespodzianek.

myślicie się, jaką tajemnicę skrywa. Jeśli zaś brzmi obco, niech na początek wystarczy Wam wiedza, że w serialu jest czarnoskórym przeklętym nieśmiertelnością, który w Irlandii realizuje własne plany, niekoniecznie zbieżne z zamiarami królowej Diany. To najciekawsza postać „Prawa miecza”, skomplikowana i zaskakująca, świetnie wykreowana przez Sebastiana Roché.

Trudno zapomnieć odcinek, w którym kupiec ze Wschodu przywozi do Irlandii *atmos* – wybuchowy proszek. Anachronizm? Bez wątpienia. Ale czy spodziewalibyście się w opowieści z tamtych czasów, że mag będzie miał wizje XX-wiecznych pól bitew? Spodziewalibyście się rozważań o niebezpieczeństwach, jakie niesie nauka? O ludzkiej skłonności do zniszczenia? Bohaterowie „Prawa miecza” mają w zanadrzu wiele niespodzianek.

Co jeszcze ma do zaoferowania „Roar”? Seksowną Melissę George, która występuje w kilku odcinkach w roli niepokornej córki Fergusza, Molly. Przyzwoite mordobicie – nie żadne akrobacje rodem z „Xeny”, lecz rzetelne naparzanie się po ryjach, gdzie tłuczesz tym, co się nawinie i wszelkie chwytły są dozwolone. Nominowaną do Emmy ścieżkę dźwiękową, w której pojawiają się parę razy utwory Loreeny McKennitt. Spotkania z istotami z celtyckich legend (banshee, tash). No i osiemnastoletniego Heatha Ledgera, ze śpiewnym irlandzkim akcentem, dopiero rozwijającego skrzydła u progu wspaniałej, chociaż tragicznie krótkiej kariery.

P.S. Rok po skasowaniu „Prawa miecza” odpowiedzialna za ten serial wytwórnia Fox postanowiła wrócić do sprawdzonej formuły pseudomitycznych historii i wypuściła „Młodego Herkulesa”. Jego gwiazdą był niejaki Ryan Gosling.

Jerzy Rzymowski



PRAWO MIECZA (Roar). Twórcą serialu: Shaun Cassidy, Ron Koslow. Występują: Heath Ledger, Vera Farmiga, Sebastian Roché. USA / Australia 1997.



# WIDOWISKO BEZ FABUŁY



FILM ☐ ☐ ☐  
DODATKI ☐ ☐ ☐

Typowy blockbuster  
– mało fabuły,  
dużo wybuchów  
i potworów, a do  
tego łopatologicznie  
wyłożone przesłanie.

Tytani najpierw się ścierali, a teraz się gniewają. Na kogo? Na swoje dzieci, czyli bogów, a także na ludzi, bo ci akurat pałają się pod nogami. W sumie też byście byli źli, gdyby Zeus, Hades, Posejdon i spółka uwięzili was przed wiekami i przez tysiąclecia rządili sobie światem, was skazując na mroki Tartaru. I gdy tylko nadarzyłaby się okazja (na przykład zdrada Hadesa i Aresa), dalibyście nogę, a następnie publicznie wyrazili swoje niezadowolone, rozwalając wszystko jak popadnie. Zaiste, nie można się dziwić Kronosowi.

Po obejrzeniu „Starcia Tytanów” trudno było sobie wyobrazić film z bardziej szczątkową fabułą (no, może „Transformers 3”). A jednak! „Gniew Tytanów” nawet nie udaje, że chodzi o cokolwiek innego, niż efekty specjalne i niech nie zmyli was zatrudnienie aktorów tej klasy co Liam Neeson czy Ralph Finnes – panowie grali w części pierwszej, nie było więc innego wyjścia, jak ponownie ich zatrudnić. Może jednak byłoby lepiej, gdyby padło na kogoś mniej utalentowanego, bo widok Neesona, który jak nakręcany powtarza, że ludzie są lepsi od bogów, bla bla bla, mają w sobie ukrytą moc, bla bla bla, że bez nich bogowie są niczym, bla bla bla, jest naprawdę rozdzierający. W skrócie: fabuła to klasyczny quest, a dialogi są tak drętwe i patetyczne, że dla dobra filmu powinno się go zrobić w wersji niemej.

Trzeba jednak oddać „Gniewowi...” sprawiedliwość – czy należało spodziewać się po tej produkcji czegośkolwiek innego? Główny zły, a więc Kronos o ciele z na wpół zastygłej lawy prezentuje się nadzwyczaj efektownie, na głowę bijąc widzianego w poprzedniej części Krakena. Zgodnie ze złotą zasadą sławetnego hollywoodzkiego producenta, Jona Petersa („Batman”, „Bardzo Dzikie Zachód”), co dziesięć minut ktoś się z kimś bije, przy czym rozmach takich mordobić zawstydza firmy profesjonalnie zajmujące się wyburzaniem wieżowców. W kinie musiało robić wrażenie, na DVD już nieco mniejsze. Można by pomyśleć, że dystrybutor wynagrodzi te braki jakimiś dodatkowymi materiałami – niestety, otrzymujemy ledwie kilka wyciętych scen.

Pozostaję fanem „Starcia Tytanów” z 1981 roku, o nowych wersjach szybko zapominam.

Marcin Zwierzchowski

GNIEW TYTANÓW (*Wrath of the Titans*), Reż. Jonathan Liebesman, Scenariusz: Dan Mazeau, David Johnson, Zdjęcia: Ben Davis, Muzyka: Javier Navarrete, Występują: Sam Worthington, Liam Neeson, Ralph Finnes, Edgar Ramirez, USA 2012

## INNA KRÓLEWNA ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐

Merida jest córką króla Fergusa, który zjednoczył zwaśnione celtyckie klany. Niezależna dziewczyna nie chce się dopasować do rygorów dworskiego życia, a tego wymaga od niej matka, kochająca lecz rygorystyczna Elinor. Czarę goryczy przepelnia decyzja, że Merida ma zostać wydana za mąż za syna jednego z trzech lordów, którzy przybyli rywalizować o jej rękę. Po spektakularnej awanturze, królewna ucieka do lasu, tam zaś trafia do domku starej wiedźmy, od której kupuje urok, aby odmienić swój los. I wtedy problemy zaczynają na dobre...

Pixar przyzwyczaił nas do najwyższego poziomu swoich animacji – wystarczy wspomnieć takie tytuły, jak „Iniemamocni”, „Ratatuj” czy czarujący „WALL-E”. Tym razem przenosi nas do krainy inspirowanej średniowieczną Szkocją i snuje baśń z wartościowym, nienachalnie podanym morałem. To w pewnym sensie historia bliższa klasycznym animacjom Disneya (którego Pixar jest oddziałem), niż wcześniejsze pixarowskie filmy. Z drugiej strony, jak to ktoś celnie zauważył, Merida jest chyba pierwszą królewną, która wcale nie marzy o księciu z bajki,

Pixar ponownie znakomicie bawi i czaruje – tym razem w scenerii średniowiecznej celtyckiej krainy.

przedkładając galopady z łukiem po kniejach nad romantyczne uniesienia. Inna sprawa, że kandydaci do jej ręki są rozgarnięci jak siano widłami.

W „Meridzie...” znajdziemy dużo okazji do śmiechu – tym razem przeważnie sytuacyjnego, a nie wynikającego z zapadających w pamięć powiedzonek, chociaż parę zgrabnych linijek się pojawia. Bywa też dramatycznie, a nawet groźnie. Całość jest pięknie i starannie animowana – już w zwiastunach dało się zobaczyć, jak imponująco prezentuje się burza rudych włosów głównej bohaterki, a to nie jedyne pole, na którym Pixar stale dokonuje postępów. Także 3D wygląda dobrze – stanowi mądre dopełnienie obrazu, a nie gadżet stosowany sztuka dla sztuki. Zwraca na siebie uwagę świetnie dopasowana ścieżka dźwiękowa. Całość jest wyśmienita. I jedyne, czego tym razem brakuje, to brzmienie głosów aktorów podkładających je w oryginale – melodii języka i akcentu, którego w dubbingu nie da się odtworzyć (i zresztą dobrze, że nie próbowano).

Jerzy Rzymowski

MERIDA WALECZNA (*Brave*). Reżyseria: Mark Andrews, Brenda Chapman. Scenariusz: Mark Andrews, Steve Purcell, Brenda Chapman, Irene Mecchi. Muzyka: Patrick Doyle. Głosów użyczyli: Kelly Macdonald, Billy Connolly, Emma Thompson. W polskiej wersji: Dominika Kluźniak, Andrzej Grabowski, Dorota Segda. USA 2012.

